



# BLUSZCZ

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEC.

**Prenumerata w Warszawie:**

We wszystkich księgarniach i kantorach pisma peryodycznych po cenie miesięcznie kop. 60, kwartalnie rub. 1 kop. 80, półrocznie rub. 3 kop. 60; rocznie rub. 7 kop. 20 z 20 tomami rub. 9 kop. 20, w oprawie rub. 12 kop. 20. Na Pradze w księgarni S. Rzymyńskiego, Wileńska, 4.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: rocznie rub. 10, kwartalnie rub. 2 kop. 50, z 20 tomami rub. 13 kop. 20, w oprawie rub. 16 kop. 20. Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Pod kierunkiem literackim  
**Zofii Seidlerowej.**

*Ekspedycja Główna ulica Nowy-Swiat Nr. 41.*

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie złr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zł. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego”: w Poznaniu kwartalnie 3,60 mk., z przesyłką pocztową 4,30.

## LUDZKOŚĆ!...



„Jeśli życie jest wielką wypłuczną dni z nadziei, nocy ze snu, serc z radości, to któż je czyni takim, jeżeli nie ludzkość?”

*E. Orzeszkowa.*

Ludzkość, jak ocean bezbrzeżny, przypływa, odpływa... wznosi się, opada, burzy, i znów spokojem kołysze.

Ludzkość—jak ocean bezdeny...

Ma swoje głębiny nieodkryte, ma swoje skarby niezliczone, ma swoje skały niebezpieczne i męty brudne.

Ludzkość potęgą jest olbrzyma, który tylko liczy jednostek szeregi, ażeby ich liczbą bogacić się, mnożyć, wznosić i rozszerzać, ale indywidualności tych jednostek nie zna, nie ceni i nie szuka. Wszystko jedno, kobieta czy mężczyzna, wielki, czy mały, dostojny czy nędzny, mocny czy słaby, byle był.. a przez jego byt ludzkości okrąg się powiększa. Ocean nie zgłębiony, otchłań nie zmierzona, ogrom nie objęty okiem, to ludzkość, a jednostka atom, pył, nicość, mgła.

Jednak—by w ludzkości stwarzać poprawę, by siać postęp, by uszlachetniać ducha, by widzieć sprawiedliwość — trzeba zacząć przede wszystkim poprawę od swego ja, a potem od tych, nad którymi pracować można.

Słusznie powiada dostojna jubilatka: „Jeżeli życie wypłuczną jest dni z nadziei, nocy ze snu, serca z radości, to któż je czyni takim jeżeli nie ludzkość?” Wszystkie ciernie życia ludzkość nam pod nogi rzuca.

Wszystkie pioluny zawodów ludzkość nam do picia daje.

Wszystkie głązy cierpień ludzkość na nasze barki wtłacza.

A my, przeżywając noce bez snu, dni bez słońca, lata bez radości, pytamy, kiedy wreszcie będzie lepiej i szukamy drogi ratunkowej.

Gdzie ona i jaki jej szlak?

- Równouprawnienie!—wołają jedni.
- Wyzwolenie kobiet!—mówią inni.
- Zmiana wychowania i wykształcenia!
- Rozwój umysłowy i poznanie prawd!..

Prawda, gdyby się te pragnienia urzeczywistniły, ludzkość podźwignęłaby się ze swych wad i win i plam, ale nie doszłaby jeszcze do zupełnego dobra.

Ludzkość stwarza się z milionów jednostek, które muszą wykolebać się w domach rodzinnych, przejść przez wychowanie matek, ogrzać przy ich sercu i nauczyć się miłować to, co jest dobre i piękne.

Wtedy nie będzie życie wypłuczną serc z radości i dni z nadziei, kiedy nie będzie w olbrzymim jej cielsku jednostek bez serc, ducha i człowieczeństwa w każdym czynie zezwierzęconego.

O ideale ludów... ludzkości godna nazwy swej, kiedyż cię taką wykolebiają nasze matki i kiedy cię taką uczynią nowe drogi oświatowe?...

Tyle hasel dzwoni nad kolebkami dzieci naszych, tyle drogowskazów rozstawiają przed młodzieńców dzisiejszych drogami, tyle słońc rozpalają nad czołami tłumów, ażeby wieść je za sobą, a jednak, miast zagojonych ran, nowe blizny, miast poprawy wad, nowe błędy, miast wyplenia złości, posiew nienawiści i zemsty.

Głosy kobiece wołają:

— Dajcie nam prawa wyborcze, dajcie nam sądy, dajcie ustawodawstwo!...

Słusznie się nam one należą, ale zanim je otrzymamy, starajmy się zagarniać je sobie same przez wychowywanie dzieci naszych.

Jeżeli wychowam synów tak, iż będą ludźmi godnymi nazwy człowieka, wtedy ze spokojem będę czekała na kogo głosy oddawać będą... ich głos będzie moim... Jeśli wychowamy synów tak, iż nigdy nie splamią ducha niesprawiedliwością, czekać będę spokojnie, aż sama otrzymam prawa sędziowskie. Ich sądy i wyroki będą moimi sądami. Jeśli wychowam synów tak, iż poświęcą życie pracy nad tem, ażeby wszelkiej krzywdy ślad zaginał na ziemi, zniosę to cierpliwie, iż ja w parlamencie ustaw naszych nie będę układała. Mamy w ręku władzę po nad wszystkie władze ziemskie, bo mamy wychowanie dzieci w ręce nasze złożone, a więc ludzkości obszary ogromne i niezgłębione i niezmierzone, mamy rozścielone przed nami, tylko trzeba nad nimi czuwać i—pracować.

Dlaczegoż życie wypłuczną jest dni z nadziei?...

Bo prowadzi nas do zetknięcia się z ludźmi, a ci łamią zamiary, depeją uczucia, rozczarowują na każdym kroku.

Dlaczegoż życie wypłuczną jest nocy ze snu?

Bo stawia nas wśród ludzi, którzy wyzyskują pracę, gnębią wymogami, depeją prawami kapitalizmu i wpręgają bezlitośnie w warsztat zarobkowej maszyny na chleb dzienny i dach nad głową

Dlaczegoż życie jest wypłuczną serc z radości?

Bo ledwie tu lub tam, jak błyskawica, zjawia się człowiek dobry, który lży osuszy, bliźny zagoi i miłosierdzie przynosi, bo ledwie jak meteor, spada raz na kilka dziesiątków lat, wieść o tem, iż żył ktoś, kto żył nie dla siebie, kto widział smutnych i znał biednych..

A czy temu winne prawa, sądy, głosowania i ustawy, iż w olbrzymim cielsku ludzkości tak mało jednostek, które nie wypłukują serc z radości?

Ludzkość—to nasze dzieci...

A dzieci te wypłukują innym serca z radości, noce ze snu i dni z nadziei dlatego, iż nie nauczono je jak trzeba żyć, ażeby radość dać, a nie brać, ażeby czynić noce spokojne, a nie ze snu odzierać, jak należy nadzieją wszystkich pokrzepiać, a nigdy jej nie zabijać.

„Młodości! ty nad poziomy wylatuj

„I okiem słońca ludzkości całe obszary przenikaj!...”

Polko!... stań się pracownicą wytrwałą w wychowywaniu dziatwy, a wtedy obejmiesz ogromne obszary pod swe skrzydła i będziesz miała rząd nad ustawami, które krzywdy zmieniają w sprawiedliwość...

Ludzkość—ocean bezbrzeżny...

Ludzkość—głąb bezdeny...

A jednak, kobieto, ty możesz nią władać...

*Jadwiga z Z. Strokowa.*



MARYAN GAWALEWICZ.

## BEZ CELU.

POWIEŚĆ.



(Ciąg dalszy).

Kiedy nazajutrz z rana wychodził z domu, sprawiał się umyślnie tak cicho, aby jej nie obudzić i uniknąć wyjaśnień; nakreślił tylko kilka słów na kartce, którą zostawił na biurku w miejscu widocznym.

— „Moja Rózieczko—pisał,—przepraszam cię, że wychodzę dziś bez pożegnania, robię to pierwszy raz, a może i ostatni...

„Moja Ty ukochana, nie bądź o mnie niepokojną i cokolwiekby się stało, wiedz o tem, że stać się musiało. Nie mogłem się wymówić i postąpić inaczej. Jestem pewny, że gdybym Cię nawet był uprzedził, nie byłabyś starała się mnie powstrzymać.

„Taki padł los!

„Całuję Cię, Róziu. Daj Boże do widzenia!”

Już na kwadrans przed oznaczoną godziną spotkania, oczekiwał Gwóździa na stopniach kościoła św. Aleksandra.

Choć usiłował zachować pozory człowieka obojętnego, bystrzejsze oko byłoby zauważyło w wyrazie jego twarzy, w płochliwych spojrzeniach, rzucanych na wszystkie strony, w nerwowych ruchach głowy i rąk coś podejrzanego.

Na szczęście, ranek był pochmurny i dżdżysty; cieniutki deszczyk mżył w powietrzu, lepkie błoto pokrywało bruk i chodniki, ludzie szli pod parasolami po większej części, spoglądając więcej na dół, aniżeli w górę, i nie troszczyli się o dorodne młodzieńca w szarej kurtce i kapeluszu, nasuniętym na oczy, stojącego na kamiennych stopniach kościoła o takiej porze, w której wiele osób wchodziło i wychodziło z rannej mszy.

Z wnętrza świątyni dochodził poważny głos organów...

Lebicki spoglądał na zegar, umieszczony u szczytu Instytutu głuchoniemych i ociemniałych i niecierpliwił się, zdawało mu się, że wskazówki nie posuwają się wcale i że te minuty wyczekiwania przewlekają się w nieskończoność.

O kwadrans na dziewiątą zajęchała naręszcie przed kościół dorożka z podniesioną budą; z dorożki wysiadł powoli, spokojnie Gwóźdz w szerokim płaszczu i wstępując na schody, dał znak Sokolikowi, aby poszedł za nim.

W ręku niósł tę samą paczkę, owiniętą różową tasiemką, którą przygotował wczoraj u Lebickiego.

Weszli obaj do kościoła i zatrzymali się w bocznej nawie pod ścianą za konfesyonałem, gdzie mogli bez zwrócenia uwagi zamienić z sobą słów kilka.

— Dawno czekacie?

— Z pół godziny.

— Spóźniłem się trochę, bo musiałem dla was postarać się o rewolwer; swojego zapewne nie macie?

— A nie mam!

— Przypuszczałem; sięgnijcie nieznacznie w moją kieszeń... z lewej strony, i wyjmijcie, tylko ostrożnie.

Przysunął się do niego bliżej, aby mu ułatwić tę operację i odwrócił głowę, baczny wzrokiem wodząc dokoła, czy nikt na nich nie patrzy.

— Schowajcie szybko!... — może się przydać w stanowej chwili,—szepnął; — mamy jeszcze godzinę czasu. Możemy z sobą porozmawiać. Po ulicach nie bardzo bezpiecznie włóczyć się w tych stronach; nie trzeba, żeby nas widziano razem.

— Chcecie tu zostać?

Gwóźdz ramionami wzruszył i usta skrzywił.

— Ten organ huczy tak złowrogo!... was to nie denerwuje? — spytał.

— Nie zwracałem na to uwagi; myślałem o czem innym.

— Mnie to rozstraja... Wyjdziemy bocznymi drzwiami. Wy jesteście już po herbacie? Lebicki spojrzał na niego zdziwiony, że w takiej chwili może troszczyć się o rzecz tak marną, jak herbata; sam on był naczezo do tej pory i zapomniał zupełnie o śniadaniu.

— Wstąpimy tu do cukierni na rogu—mówił Gwóźdz,—tam będziemy swobodniejsi.

I otuliwszy się peleryną, poszedł ku wyjściu, ale we drzwiach zatrzymał się i udając, że się nachyla nad kropielnicą, rzekł:

— Nie wychodźcie ze mną razem; przejdźcie na tamtą stronę i idźcie wprost do cukierni! Spotkamy się za dziesięć minut.

Skinął mu nieznacznie głową i wyszedł szybko.

— Dziwny człowiek! — pomyślał Lebicki,—ma minę tak spokojną, jakby chodziło o rzucenie listu do skrzynki, ale nie bomby. A przecież za godzinę mamy zabić Marajewa!...

Wzdrygnął się i uczuł, jak mu krew uderzyła do głowy i w skroniach załomotało.

Z jakąś dziwną niechęcią szedł do tej cukierni, w której go Gwóźdz miał oczekiwać z herbata; gdyby to było od niego zależało, byłby ten cały czas, pozostający mu do chwili wykonania zamachu, spędził gdzie w ukryciu, samotny, zdala od ludzi, w jakiej ciemnicy, gdzieby nie było widać nawet światła Bożego.

Usunął się przechodniom z drogi i z pochyloną głową przekradał się ulicą, jak złoczyńca, unikając spojrzeń ludzkich.

Zdawało mu się, że na czole ma już piętno mordercy, widoczne dla wszystkich i że mu z oczu pierwszy lepszy wyczytać może tajemniczy zamiar, który musi wykonać za godzinę.

— Za godzinę, za godzinę dopiero! — myślał zgnębiony,—tak długo jeszcze czekać do tej dziesiątej. Niechby się to raz stało, byle prędzej!

Przyspieszył kroku i doszedł do Nowego Świata, minawszy oznaczone miejsce spotkania; stanął przed jakąś wystawą sklepową i bezmyślnie przypatrywał się słojom z herbata i butelkom, ustawionym w piramidy.

Z zadumy wyrwał go piskliwy głos chłopca, roznoszącego gazety poranne:

— Zamach na pociąg!.. trzydzieści osób rannych, cztery zabite, trzy kopiejki!...

Ocknął się jak ze snu i pomyślał:

— Po południu będą tak samo wołali: „Wybuch bomby, zabójstwo pułkownika Marajewa!...” cała Warszawa będzie może czytała moje nazwisko. Biedna Rózia, biedna moja Bronka!...

Zadławiło go coś w gardle i jakaś ciemna mgła zasłoniła mu oczy; oparł się o mur i przymknął powieki.

Ale po chwili oprzytomniał, wyprostował się nagle i szybkim krokiem zawrócił znowu w stronę placu Trzech Krzyży.

(Ciąg dalszy nastąpi).



PAMIĘCI

Bronisławy Jastrzębowskiej.



I.

Szkoda was wszystkich, co w siły rozkwicie  
Na sen idziecie — przerwawszy robotę;

Przez chwilę—w przyszłość rzuca wasze życie  
Odblaski złote.

Chwilę was płaczą—na grób niosą kwiecie,  
W przeszłość — żalosci patrzą się oczyma,  
Lecz ślady wasze czas prędko rozmiecie...  
Niema was — niema!

Świat nowe nici rękami ze stali  
Rozsnuwa codzien na życiowej tkalni...

W kilku się sercach płomyk wspomnień pali  
Wam — nietykalni!...

II.

I przyszła —[zawsze chyża w biegu  
Tajemna — zimna — szparka...  
Wzięła z pracownych ją szeregu,  
Niepomna — że żniwiarka

W żar trwając południowy słońca,  
Łan do połowy zżęła,  
A ta — znienacka przychodząca,  
Z sierpem ją w ręku — wzięła.

Wszak do zachodu — hen — daleko,  
Dzień jej w słonecznym złocie,  
Choć krople znoju z czoła cieką,  
Zostaw ją przy robocie!

Chlebne się kłosa przed nią chwieją:  
„O przyłóż do nas ręki,  
Natchnij twą wiarą i nadzieją  
Na trud — na ból — na męki.“

„Pójdziem za tobą całym łanem,  
Starczy nam dnia i słońca!“

Odeszła cicho — już przed Panem  
Ta — wiele Miłująca!

Bożymir.

J. OKSZA.

## Nasz ideał kobiecy

W najnowszej literaturze.



(Ciąg dalszy).

Bo Julia jest dobra, bardzo dobra, miękka, chce żyć własnym życiem, ale jej żal tych, których uczucia musiałaby i pojęcia podeptać — „to moja matka — moje siostry,“ ona wie, że chcąc uratować siebie i wszystko wielkie w sobie — musi porzucić — kopnąć „familijny tramwaj,“ nie brak jej ani fantazyi, ani śmiałości, tylko brak wewnętrzne przekonania, że ma prawo postąpić bezwzględnie; w niej samej silnie jeszcze tkwią tradycje jest cała, pełna kobiecość z przywiązaniem do przeszłości, do otoczenia.

Głęboki tragizm sztuki Kisielewskiego tkwi przede wszystkim w tej uczuciowej kolizji: nie wojującego zaślepienia, nie doktrynerstwa, z przedziwnym współczuciem ogarnia autor ten biedny, filisterski świat, czuje także od strony zafrasowanych, stłuczonych, upartych starych — ból i mękę nieporozumienia; daje tych ludzi całych w ich pocziwej śmieszności, bez Ibsenowskiego zacietrzewienia — z bardzo smutnym i bardzo dobrym uśmiechem politowania.

W takim też do nich stosunku jest Julka, „szalona Julia,“ która jako objawienie artystyczne nowej psyche kobiecej, tak silne wrażenie wywarła, tak głęboko zapadła w duszę pokolenia, które krótko, ale świetnie przeżyło kilka lat wielkiego rozkwitu Sztuki.

Był ten błyskawiczny moment „Młodej Polski“ czemś tak jedynym w naszym życiu wewnętrznym, czemś tak bogatym i zuchwałym, czemś tak młodem i bijącym w górę nadmiarem bujności ideowej, jak ta dziecięca miłość szalonej Julii i Jerzego Boreńskiego, jak ten pęd ku podeptaniu wszelkiej realności codziennej, dla pięknej, umiłowanej służby — w pełnej wolności, w jasnych promieniach słońca, które wszędzie...

A może najwyższym i najczystszy wyrazem dla pragnień tej rozkwitającej ku życiu twórcemu młodości, stała się chwila, gdy pod wpływem bajecznej wizji Podkowińskiego, świeżym osypana śniegiem, rozkoszą życia wśród Natury i Sztuki pijana, daje Julia całą siebie — artystkę i kobietę.

W nieświadomej miłości porywie, związani wspólnością marzeń, ci dwoje, Jura i Julia wstępują w krainę cudu, gdzie ustaje rzeczywistość, a wieczność się poczyna. Z tamtej strony jest prawdziwe życie...

To, co przyszło później, przybijając smutne: Bronik powiesił się w Paryżu — Julia Chomińska-Rolewska, histerycznie kapryśna żona pana sędziego Rolewskiego, męczy się wśród fałszywych aspiracji do sztuki i nie zaspokojonej żądzy wrażeń. Boreński — tak, Boreński doszedł tam, gdzie chciał; ma sławę i suchoty — i twardy, stalowy błysk w oczach, umie gestem nakazującym, a wytwornym ocalić od pospolitości — przykrą sytu-

ację spotkania z oszukanym mężem pani Rolewskiej...

Zachował szlachetność linii...

A nie wszyscy z jego współczesnych: z bezwzględną brutalnością stratowało ich życie, lub zepchnęło do rzędu wyrobników pióra.

Lat dziesięć... a wszystko się prześni...

## III.

„Warszawianka“ Wyspiańskiego, ten wyraz najsilniejszy tragizmu polskiej sprawy i polskiej duszy, na jaki zdobyła się myśl współczesna, „Warszawianka,“ skrócona do momentu jednego i do najprostszych sprawadzona linii — powieść o wszystkich porywach entuzjazmu, o szlachetnych gestach, doktrynerskich założeniach, o zwątpieniach w zarodzie akcji, o wszystkich bohaterstwach w imię rozpacz — jakie się w Polsce od jej upadku popełniają — „Warszawianka“ przyniosła nam typ niby nowożytny „Rozy Wenedy:“ z kasandrycznym jasnowidzeniem łączy się w niej ukochanie Ojczyzny mocne, a rozpaczne, szalona, gorąca ambicya dla ukochanego rycerza, aby ten był jako owi „bez trwogi i bez skazy“ — pierwszy w szeregach; równocześnie z tem pragnieniem wyraźne przecucie nieodwołalnego nieszczęścia, co spadnie na jego młodą głowę i na tych wszystkich, ufających w przyszłość i na cały, cały kraj...

Chłopi jeden zrozumiał, co dzieje się w duszy tej dumnej panny, która w tej chwili przeżywa w sobie całą groźbę beznadziejności, z jaką on — od lat tyłu — po bankructwie swej napoleońskiej idei, żyć musi z jaką dziś prowadzi się świetne, kwitnące, szczytne młodzieńcze hufce — na bój, bez wiary w zwycięstwo. Marya to jedna z najgłębszych, najwyższych, tragicznych dusz kobiecych, jakie Polska wydała: jest ona właśnie z tych, które przy inteligencji niesłychanie krytycznej i wymagającej, przy wielkich, szalonych pragnieniach, przy szlachetności duszy i czystości niepokalanej — przy delikatności tak subtelnej i aż do krańców ostatecznych dochodzącej, nie nigdy nie zdołają zdziałać nic dopomóż, nie postawić. Wszystkie te olbrzymie zdolności przeszkadzają w życiu tak zwykłym, jak ideowem; odbierają wiarę w siły własne, rodzą lęk niewytlómaczony — wstrząsający do dna, który się udziela otoczeniu. Tylko w Polsce porzobiorowej, na tle wielkiej tragedii narodowej, na tle bezradności wyolbrzymionego uczucia, jest ten typ możliwy i to tak w 30-ym, jak 63-im, jak 1905-ym roku.

W delikatnych, pastelowych barwach rzucił poeta obok „Maryi“ ledwie naszkicowany profil jej siostry, Anny, ufnego, świeżego dziewczęcia, które nie przeczuwa nic, umie tylko poprostu kochać, cieszyć się szarfą przypiętą narzeczonemu, modlić się — wierzyć, smuć i płakać, gdy przyjdzie już godzina żałoby; i wtedy jednak, taka naiwna duszyczka znajduje zawsze jakiś punkt oparcia w nieustannej czynności rąk, w poczuciu, że trzeba coś ratować, coś pomagać — ona będzie opatrywała rannych, będzie ich aniołem, ze swym uśmiechem, niosącym pociechę, ze swymi łzami dziecinnej współczucia. Tragiczna dusza Maryi, skamieniała w bólu, nie pozwoli

sobie na złagodzenie męki temi drobnymi staraniami miłosiernej pracy: nawet gdy nagnie się do nich, to automatycznie, niosąc w sobie rozdarcie po Wielkiej Stracie — wiecznie równie silne, zawsze z namiętnością cierpienia, z gwałtownością wewnętrzną, mimo pozorów śmiertelnego spokoju chowane w głębi duszy.

Jeżeli jednak Roza Weneda w swej kapłańskiej wiedzy tajemnej ma środki na zbudzenie mścicieli z popiołów — to Marya żadnych złudzeń, żadnej nie żywi na dalszą przyszłość nadziei. Jest grobowcem swoich najdroższych umiłowań: jest niepokieszona, nie znosząca żadnej ludzkiej pociechy. I boskiej także nie wzywa — nie rozumie, nie chce. Cała skupia się w jednym: „Consumatum est.“

Obok tego jest w Polsce niezmiernie wybitny typ kobiety ideowej, która pewnemu apostołstwu oddała się na służbę i pod kątem, aż w manię przechodzącej żarliwość dla umiłowanej sprawy, układa życie własne i najbliższych. Wielką szlachetność, gorącość i czystość uczucia tych istot, trawionych żądzą doskonalenia świata, ceniuje bardzo często rodzaj egzaltacji, która dla blizkich jest tylko jednym z bogatych rysów charakterystycznych takiej bujnej natury, dla obcych jednak rzuca się w oczy jako cecha główna.

Kobiety przeważnie rozwijają się dość późno i bardzo długo zachowują zdolność przyjmowania nowych wpływów, rozpoczynania życia duchowego na nowo, z zadziwiająco przy siwych włosach — młodością.

To życie ideowe właśnie wtedy ogarnia je z całą siłą, gdy już ukończyły z historią osobistego szczęścia i nieszczęścia, z historią swej wielkiej miłości. Kobieta polska tego typu jest bowiem erotyczna, ale inaczej, niż Francuzka, Hiszpanka, czy Włoszka; dla niej miłość nie istnieje, jako sztuka, jako gra, jako upojenie zmysłów, czy zabawa półbogów — ona zna miłość jedną, na śmierć i życie, taką, która tylko kataklizmem kończyć się może. Dumna i namiętna, a wysoko intelektualnie rozwinięta, jest wymagająca i wyłączna, bezwzględna i zaślepiona. Tak w miłości jak w apostołstwie.

Taką kobietą jest matka Willi w „Sonacie“ Kisielewskiego.

Kochała całą szaloną miłością: byli szczęśliwi; mieli dziecko piękne i życie ciche, święte. On artysta-muzyk o wielkiej przyszłości. Aż przyszła burza: pokochał inną, rodzoną jej siostrę, i tamta stała się natchnieniem, ideałem, muzą — a ona tylko żoną. Pod wpływem tamtej stworzył dzieło — pierwsze wielkie dzieło — sonatę. W atmosferze dziwnej naprężonej, owej podwójnej miłości żyli tak wszyscy troje w tajonej męce — aż matka Willi dowiedziała się o wszystkim.

W porywie zazdrości zniszczyła rękopis „Sonaty.“ Muzyk w rozpacz tych dni kłęski dostał pomieszania zmysłów, po śmierci swej ukochanej, która skończyła nagle...

Przeszły długie lata; pani Tańska pielęgnowała obłąkanego męża i wychowuje córkę, która wyrosła na piękną dziewczynę, obdarzoną cudownym głosem i wyjątkową muzykalnością. Matka chce mieć Willę, jaką kapłankę Sztuki, artystkę, poświęconą jedynie wielkiemu apostołstwu piękna, chce, aby Willa nie znała

## Aleksander Świętochowski.

(40-letnie prace pisarskiej).



Aleksander Świętochowski, publicysta, filozof, dramaturg i nowelista, pochodzi z pokolenia, przekazanego krajowi przez Szkołę główną, z czasów krótkiej epoki jej istnienia, w której naród rwać się począł do samodzielnej pracy.

W 1867 r., w „Tygodniku Ilustrowanym” pojawił się pierwszy artykuł Świętochowskiego, wówczas studenta. Artykuł nosił tytuł: „Kazmierz dzisiejszy,” a podpisany był pseudonimem—Henryk Dołęga.

Po kilku latach, zyskawszy dyplom uniwersytecki, Aleksander Świętochowski występuje na widowie społeczną, zbrojny od razu w znanie niepospolitego talentu i głęboki umysł mędrca-filozofa.

Józef Kotarbiński, w pięknie napisanej sylwetce\*) słusznie nazywa Świętochowskiego „człowiekiem walki.” Przewódca „młodej prasy,” obrońca niepodległej wiedzy, z nieustraszoną odwagą i energią walczy z różnemi przeżytkami i nałogami w beletrystyce, z nieszczerością i często upartą zaściankowością świata umysłowego.

W roku 1874-ym wyjechał do Lipska, aby tam dokompletować swe filozoficzne wykształcenie. Uzyskawszy stopień doktora, wydał dzieło „O powstawaniu praw moralnych.”

Jako pisarza postawić go możemy w rzędzie najświetniejszych stylistów polskich. Potężny szereg wspaniałych prac napisany jest językiem nieporównanie pięknym, z mocą dyalektyki, nie mającej może równej sobie. Język Świętochowskiego „wszystkie dźwięki w sobie mieści,” jest gromem, muzyką, jękiem i wyrafinowaną finezyą.

Mysliciel wytworny i głęboki artysta, jako dramaturg opierał się zawsze na rozbiorze ogólnych uczuć ludzkich. Trzyaktowy dramat „Niewinni” najbardziej scenicznie jest skomponowany, — w innych, jak: „Piękna,” „Ojciec Makary,” „Aspazyja,” „Regina,” wzbiera pierwiastek ideowy. Dwie jednoaktówki; „Helvia” i „Pauzaniusz” drgają wysokim dramatycznym napięciem i spiszową zaiste siłą.

Uwieńczeniem jego twórczości beletrystycznej jest dramat książkowy „Duchy,” śmiało rzecz można, najgłębsze i jedyne tego rodzaju dzieło w literaturze naszej. Ten dramat — to różne fazy pochodzenia cywilizacji, a na tem tle on i ona, Arios i Orla, uosobienie najszczytniejszych uczuć kobiety i mężczyzny, jako jednostek, skojarzonych z miłością ogólnoludzką.

Jako publicysta zaznaczył się Świętochowski, jako jeden z nasilniej oryginalnych, niepodległych charakterów literackich. Z biegiem czasu coraz wyraźniej harmonizował w sobie zapędy zaślepionego niekiedy doktrynera, namiętnego wodza postępu i reformatora z występującem coraz głośniejszym uczuciem rodzimem do spraw własnego społeczeństwa.

Sprawa ruchu kobiecego, jako dążącego do podniesienia klas upośledzonych i walczącego o równe prawa dla wszystkich ludzkich je-

dnostek, miała w Świętochowskim gorące go rzecznika. Świetne jego przemówienie na Zjeździe kobiet polskich, w sekcji etyczno-społecznej, było [wyrazem jego przekonania w tym względzie.

Dzisiaj sprawa kobieca, — mówił Świętochowski, — już jest w dalszej rozwojowej fazie, w okresie walki. Tej walce, jak każdej sprawie słusznej, należy życzyć jak najszybszego zwycięstwa. Społeczeństwa powinny zrozumieć, jak cenne pierwiastki kultury zdobyją w wyzwolonych siłach kobiecych. Będą to czynniki nowe, pełne energii w uzdrawianiu najdotkliwszych chorób organizmu społecznego. Dzisiaj nikt już nie śmie zaprzeczyć kobiecie wysokiej skali duchowego rozwoju, a mężczyźni, uznając jej równorzędność ze swoim jestestwem, mogą tylko w ten sposób rozstrzygać jej żądania: „Oto człowiek i nie ludzkiego obcem jej być nie powinno.”

Z. S.



## Z nad świeżej mogiły.



Szkolnictwo nasze poniosło poważną i dotkliwą stratę: dnia 16-go b. m., skończyła młode jeszcze, ale już bardzo zasłużone życie, s. p. Bronisława Jastrzębowska, przełożona VII-mio - klasowego żeńskiego zakładu naukowego w Warszawie.

Wiadomo powszechnie, jak niezmiernie ważną jest sprawa wychowywania i kształcenia nowych pokoleń. Wiadomo nam zwłaszcza, czem jest dla nas ten zagajnik zielony, z którego urosnie Polska przyszłości, cała ta nowa Polska, w której, za jakie ćwierć wieku, żyć będzie pełnią sił już nie nasze pokolenie, już nie my, — którzy dziś ten zagajnik sadzimy, polewając go nieraz krwawym znojem i łzą serdeczną, lecz żyć w Niej będzie nieśmiertelna myśl nasza, niezniszczalne nasze umiłowanie, wiekiista nawet w doczesności duchowa moc nasza.

Wiadomo również, jak kwestya ta, ważna zawsze, bo związana przyczynowo ze wstępowaniem narodu po szczytach pokoleń pod górę, ku szczytom rozwoju, lub też odwrotnie, ze zstępowaniem jego w dół, ku upadkowi, jak kwestya ta jest dla nas zwłaszcza, nadzwyczajnie ważną w okresach przełomowych, kiedy już nie wystarcza mrówcza praca u podstaw, — kiedy potrzeba wspiąć się na spekane baszty, aby na nich zatykać poszarpane sztandary, — kiedy trzeba kroczyć śmiałym rozpędem po nadprzepastnych obrywach, — kiedy trzeba nawet czasem być, jak owi bohaterokrutni Kartagińczykowie, którzy w podobnych chwilach ciskali w rozżartą paszczę Molocha wiązki swoich pierworodnych...

I nas stać było na podobną ofiarę, — ale z tą różnicą, że wychowanych przez nas dzieci nie trzeba było wiązać w snopki ku spaleni, bo one same z uśmiechem pobiegły na całopalenie... Ale z tą różnicą, że u nas rodzice i nauczyciele zdobyli się nie na pojedynczy moment rozpaczliwej determinacji, lecz na cały szereg wysiłków ofiarnych, skła-

żadnych ziemskich więzów, aby nie znała miłości, tej tragicznej siły, która nieci namiętność, druzgocze spokój i maci czystość ideowych dążeń. Matka Willi wychowuje córkę tak, aby do niej nie była podobna, aby nigdy tak strasznie cierpieć i kajać się nie potrzebowała; dlatego tai przed nią historię swego życia, dlatego utrzymuje ją w nastroju mistycznego posłannictwa, które Willa spełnić ma swym śpiewem — dlatego stawia przed nią ideał jakiegoś kościoła przyszłości, w którym zapanuje między ludźmi elenteryjne braterstwo, co w umyśle entuzjastki zlewa się ściśle ze spirytyzmem, pojętym jako rodzaj religii.

Ale młoda dziewczyna o żywym temperamentie i odziedziczonej wrażliwości tak artystycznej, jak miłosnej, dusi się w tej atmosferze szczytnych frazesów, nie może zrozumieć dziwnego ofiarstwa, cała jej natura tęskni do słońca, do pełnego życia kobiecego nie może rozwijać się wśród tajemnic, wśród szeptów, wśród mroków przeszłości, jakie cieniem się kładą na jej życie.

Idzie tedy swoją drogą, ku miłości — jednakże nie bez lęku wszczepionego jej w duszę przez matkę. Za miłość — przyjść musi fatalnie — kara.

I po raz wtóry nad biedną głową pani Tańskiej zawisa Nemezis; jej własne czyny wywołują tragiczne załamanie: Willa wydziera matce tajemnicę jej życia, a siłą przeżytych wrażeń rozstrojona, opanowana dziwnym lękiem, który objawia w niej fatalną dziedziczność, zrozpaczona utratą głosu, wpada w obłąkanie: idzie ku ojcu, jako ta córka zagubiona, której on nieustannie szuka — Sonata.

Budowany z takim trudem, z takim zaparciem, z takim umiłowaniem przez panią Tańską, gmach ekspiacy, cała wielka idea odkupienia winy wobec zmarnowanej twórczości męża, przez piękną i czystą służbę dla sztuki Antygony-córki, cała ta kryształowa budowa wzniosłej ambicji i naiwnej egzaltacji — pada w gruzy; tragiczny akord w wielkim stylu zamyka księgę żywota bolesnej matki.

Zasłużyła snąć przez swą szlachetność, przez cierpienie najwyższe, przez idealną dobroć i czystość intencji, na koniec tak wielki, nagły i klasycznie piękny, zanim zdołała ją dotknąć realność płaskiego życia, zanim Willa otoczona Marknerami i sforą impresaryów — z kapłanki nie stała się „gwiazdą” śpiewaczką, zanim weszła w kompromis z tym całym światem. Pani Tańska nie będzie nigdy zgniecioną przez codzienność, egzaltowaną, frazesami siejącą, śmieszoną matką primadonny — godnie i szlachetnie, jak Niobe zastygnie w niemym bólu.

Willi odeszła: wybrańcy bogów umierają młodo.

(Ciąg dalszy nastąpi).



\*) „Kuryer Warszawski” N-r 311.

dając na ołtarzu swego Znicza straty materialne, bezpieczeństwo osobiste, ryzyko biedy i ciemnoty dzieci, lub własną karierę, a to wszystko w impulsie dobrowolnego zaparcia się, podporządkowującego prywatę *Idei*.

Aby zaś zdolność do takich poświęceń zrodziła się już w dziecięcej duszy, potrzeba, aby w nią była włożona — inaczej jej tam nie będzie...

Jakże ją tam wkładano?

Wkładano ją budzeniem uświadczenia i rozpalaniem serca, począwszy od piersi matczynej w — domu, począwszy od abecadła — w szkole.

Tak, w szkole! bo szkoła nasza była *zawsze* polską szkołą! Pod wciśniętą na zewnątrz obcą larwą tkwiła niezmiennie treść swojska, — pokazało się to przy pierwszym haśle zerwania żelaznej maski: szkoła nasza była nawskroś polską, bez polskiego języka i polskiej historii, była bardziej polską, niż narodowe szkoły wolnych ludów są narodowemi...

Ale aby Idea nie stała się rozbieżną i nie rozpraszała swej siły w braku jednolitego zestroju, potrzeba jej zawsze takich dusz przewodniczących, które, jak kryształ soczewki,



Bronisława Jastrzębowska.

skupiają jej blaski i żary — i świecą na przdzie, prowadząc prosto a wiernie.

Dusze takie muszą być same proste a wierne; muszą być one korne a silne, ukochaniem górnem a szerokiem gorejące i nic, w niczem dla siebie nie szukające, bo inaczej nie będą nigdy przezczystą harfą Derwidową ludu swego...

W pośród czcigodnej falangi współczesnych u nas Derwidowych harfarzy, szła w pierwszych szeregach, z pokornem czołem, a śmiałem sercem, Bronisława Jastrzębowska.

Od lat dziesiątka poświęciwszy młodzieńcze sny własne i osobiste cele sprawie polskiego wychowania, wypuszczała w świat, co roku, jak gołębie z unoszącej się na wodach potopu arki, świeży wyrój przyszłych budowniczków gniazd rodzinnych, lub społecznych murów. W chwili przełomowej, odrazu, bez wahania, poszła za dziatwą swą, wskazywaną im przedtem wpływem swoim drogą — i była wówczas z rzędu tych, co idąc przodem, drugim serca dodawali.

Nakoniec, po zdobyciu tych okruchów, które nam muszą starczyć tym czasem za bochen pożywnego chleba, zwróciła całą dzielność swej pracy ku temu, aby ten chleb był zdrowo wypieczony.

Cztery zasadnicze cechy jej charakteru stanowiły węgielne zręby jej pracy wychowawczej. Były to: głęboka religijność, bez cienia ciasnej nietolerancji i przeżytego klery-

kalizmu; gorący patryotyzm, równie daleki od sztucznego kosmopolityzmu, jak i od nacjonalistycznej stronniczości; szczerą postępowość żadną dla dziatwy swego ducha skarbów najnowszej wiedzy, ale roztropnie wybierająca z pomiędzy jej zdobyczy nie fantastyczne lub nie dowiedzione hipotezy, lecz teorie pewne i poważne, których sprzeczności z wyznawanymi przez siebie zasadami nie obawiała się nigdy; nakoniec szerokie uspołecznienie, łączące wszechstronny altruizm z chrześcijańską miłością bliźniego.

To też z rąk jej wychodziły zazwyczaj żeńskie jednostki kulturalne a wierzące, postępowe — a moralne, kraj miłujące — a uspołecznione.

Ideą jej niewieściem była Narcyza Żmichowska. Stawiała ją przed oczyma dorastających wychowanek, na wysokim piedestale, a czując w sobie płomień zapalu tej swojej bratniej duszy, przy takiej pochodni zapalała święte Znicze duszyczek dziewczęcych.

Niezmacona pogoda usposobienia czyniła ją wielce miłą w obcowaniu, a cnota jej tak dalece nie była ani twardą, ani surową, że, jako jednego ze środków wciągnięcia młodzieży w sferę swoich szlachetnych wpływów, używała kształcących towarzysko i artystycznie ochoczych a skromnych zabaw, w odpowiednim czasie i na stosowne cele przez starsze uczennice w jej domu urządzanych.

Był też gościnny dom Jej niejednokrotnie punktem oparcia dla zawiązujących się swoich instytucji i Stowarzyszeń. Jedno z nich zapoczątkowała sama, w celu oświatowej pracy wychodzących z Jej Zakładu panien. Stowarzyszenie pracujących umysłowo Polek znalazło w niej znaną Towarzystkę, a w okresie swego kształtowania się, wśród trudnych okoliczności — dzielną siłą zarządową.

— A teraz...

Teraz „na atlasie słodka, cicha, w ręku trzyma Krzyż...”

W ręku Krzyż — u wezglowia grudka Ziemi Ojczystej, — a dusza w jakimś nadgwiezdnym, niedościgłym dla wyobraźni naszej bycie, kocha dalej *To samo...*

Bo Miłość mocniejszą jest niż Śmierć.

I. Ter.

## KWIATY I CHWASTY.

Bonawentura Graczyński, Polak, piszący po grecku. — Franciszka Rawity-Gawrońskiego „Bohdan Chmielnicki.”

Mieliśmy niegdyś w czasach humanizmu, poetów, którzy pisali po łacinie tak dobrze, jak starożytni Rzymianie, mieliśmy Kochanowskich, Sarbiewskich, Dantyszków, Janickich. Ale żaden z naszych humanistów nie władał językiem greckim do tego stopnia, by się mógł odważyć na stworzenie jakiegoś większego dzieła literackiego, nawet Klonowicz i Szymonowicz, chociaż mówili płynnie językiem umarłej Hellady.

I nie tylko nasze „Odrodzenie“ nie wydało autorów greckich. Helleniści europejscy z czasów Renesansu i później, pisywali po grecku epigramaty i drobne wiersze, żaden jednak z nich nie ośmielił się sięgnąć po laury Sofo-

klesów i Arystofanesów. Sztuki tej dokazał dopiero współczesny nam Polak.

Niezwykły ten majster nazywa się Bonawentura Graczyński (po grecku podpisuje się Kyr Buonantouras Grasinios) i jest obecnie profesorem języków starożytnych w gimnazjum polskim w Kołomyi.

Nie w Galicyi urodził się Bonawentura Graczyński. Urodził się w Poznańskiem, w Murowanej Goślinie, miasteczku, odległym od Poznania o kilka mil (w r. 1859) i w szkołach poznańskich, w Międzyrzeczu i Lesznie, pobierał nauki średnie. Po skończeniu gimnazjum, kształcił się w uniwersytecie w Gryffii (Greifswalde) na Pomorzu, na wydziale filologicznym, gdzie miał znakomitych przewodników. Tacy znakomici filologowie, jak Wilamowitz-Moellendorf, Kaibel, Adolf Kiesling, Henryk Zimmer i Zachariae, byli jego nauczycielami.

Po skończeniu studyów uniwersyteckich był Graczyński przez pewien czas kandydatem w gimnazjum biskupiem w Hildesheimie, następnie rzucił służbę rządową niemiecką i pracował przez lat dwanaście jako nauczyciel prywatny w domu państwa Twardowskich, w Kobylnikach pod Szamotułami (w Poznańskiem). W r. 1903 przeniósł się do Galicyi, przyjął poddaństwo austriackie, był jakiś czas nauczycielem gimnazjalnym w Stryju, skąd przeniesiono go do Kołomyi, gdzie dotąd przebywa.

Graczyński napisał dotąd i wydał trzy dramaty po grecku, trylogię: „Hagia Sofia“ (Święta Mądrość), „Anactaus“ (Wniebowzięcie) i „Hestias“ (Westalka). Pierwsze dwa wydał w Lipsku u Teubnera (w r. 1897 i 1899), trzeci dramat wydrukował we Lwowie (w r. 1906) w tamtejszem piśmie filologicznym „Eos.”

Zasługa zwrócenia uwagi na Graczyńskiego nie nam, jego ziomkom się należy. Nie wiedzieli nic o nim bliżej mu Poznańczycy, nie wiedzieliśmy i my, w Warszawie. Potrzeba było dopiero czujności helenistów europejskich, głównie Niemców, abysmy się dowiedzieli, że Polska wydała pod koniec XIX w. helenistę, jakim się żaden naród nie może poszczycić. Znakomity helenista monachijski, prof. Krumbacher, wydawca i redaktor „Byzantinische Zeitschrift“ „odkrył“ pierwszy Kyr Buontourasa Grasiniosa. Za nim poszli inni uczeni europejscy: niemieccy, włoscy, greccy.

U nas pisał pierwszy o Graczyńskim w krakowskim „Czasie“ (we Wrześniu 1907 r.) dr. Tadeusz Linko. Pisał pomiędzy innymi: „Kyr Grasinios myśli w starogreckich wyrazach, a wyrazy te składają mu się same w potoczne trymetry jambiczne dialogu, w giętkie anapesty i śpiewne legendy chórów. Do słowników i podręczników zaglądać nie potrzebuje: on naprawdę po grecku tworzy. I tem właśnie różni się od humanistów, którzy tylko odtwarzali poezję wymarłych pokoleń i wieków. Pisali nie tylko ich językiem, ale też w ich formach, uprawiali jedynie gatunki starożytne i przy każdym motywie, przy każdym niemal wyrazie oglądali się na wzory klasyczne. Chęć zostania polskim Tibullem, Propercyuszem, Owidyuszem, przyświecała twórczości Krzyckiego, Dantyszka, Janickiego; Szymonowicz sięgał po laury polskiego Pindara choć w łacińskiej szacie; Sarbiewski chciał być polskim Horacyuszem.”

Graczyński nie naśladowe nikogo, nie chce być polskim Pindarem, lecz jest sobą — nowoczesnym poetą starogreckim, a pisze po starogrecku lepiej od św. Grzegorza z Nazyanu (w wieku IV po Chr.).

Gdyby Graczyński był Niemcem, Francuzem, Anglikiem i t. d., głosiłoby fantazy gaziarskie jego sławę, podziwialiśmy go jak „cudo.” Pierwszy lepszy przecież śpiewak lub grajek zagraniczny bywa u nas przyjmowany jak bohater. Damy z arystokracji kła-

da się do jego stóp, różne historyczki wija się w konwulsjach w teatrze; najpospolitsza farsa lub operetka francuzka, wiedeńska, ściągają do teatru Nowości tłumy.

Ale Graczyński jest Polakiem i do tego naturą skromną, nie pochającą się do przodu, nie lubiącą zabiegów około pani reklamy. Zdaje mu się, jak wszystkim idealistom wogóle, że wystarczy mieć talent, wiedzę i umieć pracować, aby zdobyć sobie należne talenty i pracy stanowisko. Dzieje się tak gdzie indziej, ale u nas inaczej. U nas potrzeba koniecznie protekcji i stosunków. Graczyński ich nie szuka i dlatego uczy chłopaków w Kołomyi greki i łaciny, zamiast siedzieć na katedrze uniwersyteckiej, która się chyba jemu, jedynemu wybitnemu heleniście polskiemu należy.

Franciszek Rawita-Gawroński, znany szczególnie beletrysta i historyk, poświęca, jak wiadomo, w ostatnich czasach pracę swoją i talent Ukrainie, Kozaczyźnie. Ten jego bardzo poważny dorobek autorski powiększa obecnie monografia o Bohdanie Chmielnickim („Bohdan Chmielnicki aż do elekcji Jana Kazimierza,” Lwów, 1906.)

Na uwagę zasługuje przede wszystkim wstęp, bardzo wyrozumiały, patriotycznie pobłażliwy dla błędów politycznych naszej przeszłości. Mówi Gawroński w tym wstępie: „W dziejach naszych Kozaczyzna ma znaczenie siły fatalistycznej, potęgi prawie nie zbadanej, której znane są objawy, a nieznany duch, psychika. Losy dziejowe sprzęgły tę siłę z naszym życiem politycznym nierozdzielwalnymi węzłami. Wieszala się ona na naszej szali państwowej, przeważając ją bezwiednie ku dobremu i bezwiednie ku złemu, aż nareszcie, dzięki naszej małej odporności, straciliśmy równowagę i, osłabieni, dobiegliśmy do smutnego końca. Szukaliśmy za wiele win w sobie, a chętnie rozgrzeszaliśmy z nich innych. Potęgowaliśmy nasze winy dziejowe, nie oświecając ich winami i wadami całej cywilizacji europejskiej w pewnym okresie dziejowym. Prąd romantyzmu stworzył u nas, jeżeli nie szkołę historyczną, to wybitną grupę historyków, którzy do dziejów naszych wprowadzili niewidzialny sąd, głosili niezapisane nigdzie wyroki i kary, wytworzone tylko w podnieconej wyobraźni poetów-historyków.”

Zapewne, że nasi historycy nie dosyć uwzględniali wady i winy całej cywilizacji europejskiej w pewnym okresie dziejowym potępiając naszych przodków, niemniej jednak zostanie prawdą, że przegraliśmy kampanię polityczną z powodu naszej „małej odporności.” Jesteśmy rasą zbyt miękką do bezwzględnej walki politycznej, zbywa naszym temperamentowi na wytrwałości i systematyczności nietylko w życiu publicznym, ale także w życiu prywatnym.

Szajnocha otoczywszy Kozaczyznę aureolą męczeństwa, wszystkie winy na naszą stronę przesunął — mówi jeszcze Gawroński — i kupy hultajskie, zgromadzone pod szczęśliwym wodzem, otoczywszy sympatją romantycznej atmosfery, zamknął drogę do prawdy na długo przed własnym społeczeństwem.

Gawroński, „oparty nie o teorie polityczne i sentymentalny romantyzm historyczny, lecz tylko o fakty,” doszedł do zupełnie innego przekonania o Kozaczyźnie i jej walkach, niż większość historyków, zajmujących się tym przedmiotem. Zdaniem jego, jeżeli były jakie winy, to winnymi byli tylko Kozacy i ich przywódcy, pozbawieni wszelkiego zmysłu politycznego.

Nakreśliwszy w słowie wstępnym ogólną, bardzo dobrą, przejrzyste naszkicowaną charakterystykę naszego stosunku do kozaczyzny, Gawroński przeszedł do właściwego tematu swojego dzieła, do Bohdana Chmielnickiego, zaczynając od jego pochodzenia.

Kim był Chmielnicki, Polakiem czy Rusi-

nem, z jakich warstw pochodził, ze szlacheckich, mieszczańskich albo chłopskich? nie wiadomo dotąd na pewno. Chociaż powiedział kiedyś sam o sobie, że jest „mały i lichy człowiek,” historycy, gdy się rozślawił, dodawali mu przodków szlacheckiego stanu. Szajnocha nazwał go szlachcicem herbu Um-borak.

Rozpatrzywszy ze ścisłością sumiennego uczonego wszystkie dokumenty i dowolne wieści, odnoszące się do pochodzenia Chmielnickiego, przyszedł Gawroński do przekonania, że nie był szlachcicem. Tak samo obalił hipotezę Kamanina o mieszczańskim pochodzeniu Chmielnickiego.

Na miejscu różnych hipotez postawił Gawroński swoją własną, oparłszy się o wiadomości, podane przez Padurrę, Pinocciego i Buturlina.

Tomasz Padurra, trochę poeta trochę historyk, miał pod ręką nieznany nikomu rękopis i notatkę z archiwum książąt Szeremetjewów, udzieloną mu przez metropolitę kijowskiego Eugeniusza. W liście Buturlina do Szeremietjewa z Czerwca 1667, znajduje się następująca notatka: „w mieście Chmielniku, wojewody Mieleckiego, w województwie podolskim, syn rzeźnika, na imię Berka, upodobawszy sobie wyznanie rzymsko-katolickie, udał się z prośbą do księdza Michała, Jezuity, kapelana zamkowego, żądając chrztu. Kiedy ochrzcił Berka w kaplicy zamkowej, dając mu imię Michał, a nazwisko od miasta rodzinnego, Chmielnicki.”

Ten „Michał Wychryst,” ożeniony z kozaczką trzymał w Subotowie szynk wódki, piwa i miodu, a obdzierając za pomocą szachrajstwa pijących, taką ściągając na siebie ich nienawiść, że namówili zagończyków tatarskich, którzy, go obrabowawszy, zajęli z synem do Krymu — dodaje rękopis, znany Padurrze. — Ponieważ ojcu Bohdana Chmielnickiego było na imię Michał, a Lubotów był później, jak wiadomo, nadany Chmielnickiemu, mógł przyszyły hetman kozacki być synem wychrzonego żyda i kozaczki. Po ojcu wziął zdolność do podstępów i kręactwa, po matce animusz żołnierza-awanturnika.

Hipoteza to prawdopodobna, w owym czasie bowiem przyjmowało wiele „niespokojnych duchów,” wielu urodzonych awanturników z pomiędzy żydów i tatarów wiarę chrześcijańską, jako środek do otwarcia im zamkniętej dla „niewiernych” karyery. I znany pułkownik kozacki Hercyk, pochodził od żyda i kozaczki.

Hipoteza ta zostanie oczywiście tylko hipotezą bez potwierdzenia dokumentów. Potwierdzić mogłyby ją tylko księgi kościelne chmielnickie lub subotowskie, jeśli się dotąd zachowały.

Od roku 1620-go począwszy, aż do elekcji Jana Kazimierza idzie Gawroński krok w krok za Chmielnickim, powołując się wszędzie na dokumenty autentyczne. Beletrysta i historyk pisze z talentem beletrysty i argumentuje ze ścisłością uczonego. Jego „Bohdana Chmielnickiego” czyta się łatwo, przyjemnie. Dzieło to zasługuje ze wszech miar na szczerze uznanie.

Teodor Jeske-Choiński.



## Kilka słów w kwestyi która rozstrzygnąć się nie da.

[Odpowiedź]

na artykuł p. J. Terpiło. drukowany w N-rze 41-ym.



„Jak poradzić zbytnej nierówności podziału dóbr pomiędzy ludzi?” — pyta p. Terpiło.

w numerze 41-ym „Bluszczu.” Wielkie to pytanie istotnie — wielkie i pełne znaczenia zawsze, a dzisiaj szczególnie, gdy ścieranie się przeróżnych idei i prądów tak głośno i tak boleśnie nieraz odzywa się w społeczeństwie naszym. Ale czyż tego rodzaju reforma stosunków ekonomiczno-społecznych, da się tak od razu przeprowadzić? Czy można w dzień jeden zmienić to, co wytworzyły wieki całe? Na to chyba i trzecia Duma nie potrafi znaleźć sposobu!...

Nie marzyć nam dzisiaj o zmianie, a raczej oglądaniu zmiany warunków społecznych, lecz wejść na tę drogę należy, która z biegiem czasu do pożądaných skutków doprowadzi. Co lata całe wytworzyły — to lata tylko zmienić zdołają. Od kiedy to już i wiele zdań wypowiedziało się w tej kwestyi; ile głów wyjątkowo uzdolnionych pracowało nad jej rozwiązaniem, lecz najczęściej, jak słusznie mówi p. J. T., pomysły ich były „teoretycznie genialne — a praktycznie niewykonalne.”

Prawda, że na świecie zbytek się wciąż ociera o nędzę; że jedni mają istonie więcej, niż zużytkować mogą, podczas gdy drugim braknie na rzeczy wprost niezbędne do życia; ale czyż jest sposób, aby było inaczej?

Łatwo nam mówić, że „stan posiadania powinien być odpowiedni do elementarnych potrzeb każdego z nas,” lecz kto mianowicie rozstrzygnie, jakie są te potrzeby. Komu przyznamy prawo wglądania w nasze wydatki domowe i osobiste i osądzenia, co nam jest istotnie potrzebne, a co nie. Wszak to fakt powszechnie uznany, że wraz z rozwojem kultury danego społeczeństwa, wzmagają się jego potrzeby; warunki życia i otoczenia, przyzwyczajenia wreszcie, ogromnie wiele tu znaczą. Wszyscy ci, których rozumiemy pod ogólną nazwą „inteligencji,” o wiele więcej mają istotnych potrzeb, niż np. włościanin, który sam ziemię uprawia. To, co w jego pojęciu będzie już może bogactwem, a w każdym razie dostatkim, nie zadowoli potrzeb człowieka, pracującego przeważnie umysłem. Syn wieśniaka zamożnego, po odebraniu wyższego wykształcenia, pomimo największego nawet przywiązania i wdzięczności dla rodziców, żyć z nimi ich życiem nie może, bo to, co im wystarczy w zupełności, jego już nie zadowoli; to zaś, co jemu potrzebne — oni zbytkiem nazwą. Ilu jest ludzi na świecie, tyle też pojęć o tem, co każdy z nich potrzebuje.

Zresztą przypuśćmy nawet, że znajdzie się jakaś władza idealna, którąby uznali i biedniejsi i majątniejsi, i że władza ta określi, jakie są elementarne potrzeby ludzkości, jakież byłby wtedy sposób zniesienia nierówności w posiadaniu? Każdy mógłby powiedzieć „nie potrzebne mi to — ale moje, a więc mnie jednemu przysługuje prawo użytkowania tego według mej własnej woli.” Ani przymusowe wywłaszczenie, ani ograniczenie prawa posiadania, ani nawet wzbronienie przekazywania dóbr dziedzicznie, nie zdają się zasadami sprawiadliwymi, a w skuteczność ich trudno uwierzyć. A. i B. mogą otrzymywać, dajmy na to, z dziedzictwa równe schedy. A. człowiek uczciwy i pracowity, umiejętnie zarządzi majątkiem, który mu dostatek zapewni, B. życiem hulaszczem roztrwoni to, co odziedziczył, i gdzież tu równość w posiadaniu?... a obaj wzięli to samo. Taka zaś zmiana społeczeństwa naszego, aby wszyscy członkowie jego stali się ludźmi pracy i obowiązku, jednostkami silnymi duchem i wielkimi charakterem — to już utopia najoczywistsza, graniczająca prawie z absurdem.

Prawo własności, to jedno z najświętszych i najistotniejszych praw człowieka, którego naruszyć nie wolno, bo ten, co raz granice jego przekroczy, nigdy i nigdzie powstrzymać się nie da. To prawo, co zawsze przez wszystkie narody i po wszystkie czasy uzna-

wane i szanowane było, a wymienione powyżej zasady stoją z niem w stanowczej sprzeczności. Przy wywłaszczaniu przymusowem tego, co przechodzi z góry oznaczoną normę, nie można przecie brać w uwagę, czy dana majątność należy do jednego z tych pasażerów społecznych, czy też do człowieka pracy i obowiązku. Iluż to jest takich, co z wielkiej nędzy, pracą krwawą doszli do majątku. Czyż wolno takiemu człowiekowi odebrać na stare lata to, co życiem swem całkiem zarobił. On sam, i może nawet wielu innych znajdzie, że to dobytek, co mu się za trudy jego słuszenie należy, — lecz będą i tacy, co orzekną, że własność ta potrzeby jego przewyższa. Zresztą na mocy czego ma leniwy Piotr korzystać z pracy obcego sobie, zabiegliwego i oszczędnego Pawła. Takiego wyrzeczenia się na korzyść osób obcych, z którymi nie nas nie łączy, oprócz wspólnego miana „człowiek,” nie jesteśmy w prawie wymagać od nikogo.

Wszystko to w ścisłym jest związku z ograniczeniem prawa posiadania. Jeżeli ktoś pracuje, dajmy na to, dla wychowania dzieci, i wolno mu dojść tylko do pewnej oznaczonej normy, czyż powinien przestać pracować, skoro dzieci nauki ukończą? Przekazać majątku dzieciom nie może po śmierci, dla kogoż więc ma pracować? dla bliźnich? dla społeczeństwa? zapewne to byłby szczyt poświęcenia i miłości bliźniego, lecz zajrzyjmy w głąb serc naszych, i powiedzmy szczerze, kto z nas mając rodzinę ukochaną, całą swą pracę obcym poświęci? Siostra Miłosierdzia chyba, ale pamiętajmy, że to już czyn nadludzki, do którego sił specjalnych, z nieba danych potrzeba!

Z drugiej strony znowu egoizm czasów naszych nie doszedł jeszcze do tego, aby każdy chciał sobie tylko zapewnić życie o ile możliwości wygodne. Wszak każdy ojciec, każda matka z niezrównaną nieraz zabiegliwością grosz z trudem zdobyty oszczędza, aby dziecku dać wychowanie, aby w przyszłości ułatwić mogła nieuniknione borykanie się z pozątkiem każdego zawodu. I czyż można tego zabronić, a nawet dziwić się temu?

Zajrzyjmy w księgi praw najświętszych, praw Chrystusowych. Mistrz Boski nie uczył o wywłaszczeniu, ani odbieraniu, Zajrzyjmy do słów Jego — duchem ich się ożywiemy, — a wtedy biedny nie zechce nie odbierać bogatszemu; ten ostatni zaś nie będzie się czuł w prawie używania bogactwa swego dla siebie jedynie. Poczucie odpowiedzialności całą, jaka na nim spoczywa i rozumnie wspierania potrafi uboższych braci swoich. Nie jałmużną, nie datkiem jednorazowym, który chwilową tylko ulgę przyniesie, lecz ofiarami na cele społeczne, na instytucje nie „dobroczynne” tylko, — lecz „dobre” i zacne. Nędza zawsze będzie na świecie, bo być musi; — bo to jedno z tych cierpień ludzkości, których żaden rozum unicestwić nie potrafi, podobnie jak higiena nie dokaże tego, aby chorób nie było wcale. Cała rzecz w tem, aby tej nędzy było jak najmniej, aby nie miała ona tak szalonych rozmiarów, jak te, do których dziś dochodzi. A nędza to tem straszniejsza, że nie tylko materialna, ale i moralna. A jak jej zaradzić? Kwestya to tak doniosła i tak rozległa zarazem, że brak prawie odwagi, aby zdanie jakiegokolwiek wypowiedzieć. Wszystkiego, co byłoby korzystne i użyteczne, nikt nie wypowie, bo potrzeby i cierpienia ubogiej braci naszej wzmagają się i potęgują do nieskończoności.

Przedewszystkiem jednym z najskuteczniejszych środków, aby wszelki kapitał stał się użytecznym ogółowi, byłoby znaczne zmniejszenie stopy procentowej kapitałów, państwowych, a co zatem idzie, i prywatnych, oraz możliwie największy i najtańszy kredyt osobisty i hipoteczny, dla posiadaczy średniej i mniejszej własności.

Źródłem tego kredytu powinny być kasy oszczędnościowe, miejskie i wiejskie. Przy takich warunkach papiery procentowe za mały dawałyby procent kapitalistom, którzy tym sposobem zmuszeni byłiby kapitały swoje puścić w obieg, przez co dopomogliby uboższej ludności kraju, i ogół odniósłby korzyści i ich własności osobistej.

Szerzej tego rozwijać nie będę, — kwestya ta bowiem o ileby miała być traktowaną w sposób wyczerpujący, wymagałaby studyów zupełnie specjalnych.

Co się zaś tyczy ubogich warstw ludności naszej, to jedynie podniesienie handlu i przemysłu krajowego (przez co poszedłby w górę materialny dobrobyt kraju), oraz szerzenie oświaty za pomocą niższych i średnich szkół *fachowych*, może się okazać najskuteczniejszym środkiem, który zdoła dać cbleb tym, którzy go nie mają. O gwałtownej potrzebie oświaty wiedzą dziś wszyscy, lecz niechże ta oświata niesie w dusze za sobą istotny sposób zapracowania na życie.

Czytałam gdzieś w książce pobożnej zdanie: „Głodnemu daj najprzód chleba, a potem mów mu o Bogu.” Do pewnego stopnia da się to zastosować i do oświaty.

Co przyjdzie chłopcu biednemu z tego, że go czytać i pisać nauczą, jeżeli fachu mu żadnego nie dadzą? Nawet jeżeli ma on gospodarzyć na zagonie ojczystym, czy nie lepiej, aby się zabrał do tego z gruntowną znajomością rzeczy? A więc przedewszystkiem szkół *fachowych* nam potrzeba: szkół gospodarskich, rzemieślniczych, ogrodniczych, kucharskich, i t. d., ale szkół niższych, do których byłby dostęp, o ile możliwości, ułatwiony. Aby wieśniak, mający kilku synów, mógł każdemu z nich dać rzemiosło do ręki, a gospodarstwo jednemu tylko zostawić. Taby zapobiegło ciągłemu dzieleniu i rozdrabnianiu gospodarstw włościańskich, — jednej z głównych przyczyn ubóstwa wśród ludu wiejskiego.

Ogólnie słyzy się dziś zewsząd na brak dobrobytu rzemieślników, na brak wszelkiej służby fachowo uzdolnionej, a nędza straszna na świecie. Dopomóżmy więc tym nędzarzom do poprawienia sobie losu, — ale pomóżmy nie obdarzaniem ich tem, co chcielibyśmy drugim odebrać, lecz daniem im możliwości zarobienia więcej, niż dzisiaj mają.

Człowiekowi znającemu swój fach grunto nie, każdy chętniej da wynagrodzenie, niż takiemu, co po dyletancku rzemiosło swe uprawia. Zarobek bowiem każdego powinien stanowić racjonalny procent od kapitału, wyłożonego na jego wykształcenia. Coraz więcej rozszerza się przekonanie, że każda praca uczciwa jest dobrą, że żadne zajęcie, żaden fach nie jest sam przez siebie poniżeniem. Biermy się więc do rzemiosł i do handlu. Podtrzymujmy swoich kupców i rzemieślników; ułatwiajmy biedakom kształcenie się w jakimkolwiek, dowolnie obranym zawodzie praktycznym, któryby każdemu z nich dał pewną gwarancję zarobku na przyszłość.

Ogół dąży do wyższych studyów — a te nie zawsze chleb dają. Zostawmy wyższe nauki tym, którzy mają odpowiednio zdolności, a dla ogółu głównie potrzebne są szkoły średnie i niższe. Większy będzie dostatek w domu zdolnego np. szewca i ślusarza, niż w rodzinie prawnika lub doktora, który z wielkim trudem i mozołem złożył egzaminy, i nie ma, jak mówią pospolicie, wzięcia wśród ludzi. Właściwie jednak brakuje mu zdolności odpowiednich i zamiłowania do obranego przez siebie fachu.

Panią uzdolnioną, która koniecznie chce być nauczycielką, choćby przy małych dzieciach, więcejby zarobiła, gdyby skończyła szkołę np. gospodarską, czy też kucharską. I jej byłoby lepiej, i dla społeczeństwa może nawet korzystniej. Zyskałoby ono bowiem jednostkę zdrową moralnie, która nie znużona nieodpowiednią dla niej pracą, dużo mogłaby

działać w kierunku praktycznym, a przykładem swoim wiele serc pozyskać zasadzie: „Kaźda uczciwa praca podnosi człowieka.” Zapewne długich na to lat potrzeba, aby przysporzyć społeczeństwu naszemu takich jednostek silnych na duchu i pracujących dzielnie, każda w swoim zawodzie, a umniejszyć liczbę tych, co tak straszliwą nędzę cierpią, a do pracy użytecznej i dla siebie korzystnej, wziąć się nie umieją — a czasem, niestety! nie mogą.

A więc, do dzieła, kobiety-Polki! Niech każda z nas weźmie sobie za zadanie nie zaniedbywać niczego, aby przyłożyć ciegielkę do gmachu budowy nowego społeczeństwa, myślicy i czynnego. Wszak na to tysiące mamy sposobów... A z samego porządku rzeczy wynika, że czem więcej fachowo wykształconą będzie ludność pracująca, tem więcej będzie zarabiać — i w tymże stosunku umniejszą się to, co ludność zamożniejsza na rzeczy zupełnie zbyteczne wydaje. Tymczasem zaś, dopóki tyle łez gozskich płynie, nieśmy pomoc cierpiącym, idźmy do nich z sercem otwartym i dłonią przyjaźnie podaną. Pamiętajmy, że oni dziś cierpią, a jutro nas los może być jeszcze gorszym. Kto o tem myśli i ma Boga w sercu, temu sumienie wskaże, co w wydatkach jego jest zbyteczne, i natchnie myślą, jak sumy te lepiej użyć można, gdzie włożyć ten kapitał, którego procent nie z tego będzie świata — lecz nie zaginie na wieki!

M. Cz.



SARYUSZ.  
(ZOFIA CIESZKOWSKA.)

## PODWÓJNA MORALNOŚĆ.\*)

SZKIC POWIEŚCIOWY.



(Ciąg dalszy).

Zbliżyła się do niej i z wielką dobrocią ujawszy jej schyloną głowę, spojrzała jej badawczo w oczy.

— Powiedz, dziecko, czyś co złego zrobiła?

— O nie, nie... pani takie rzeczy przypuszcza...

I z obawy, aby jej niesłusznie nie posądzono, po chwili wahania wybuchnęła:

— To... to już powiem pani... Wyjechać muszę, bo pan mi spokoju nie daje...

Ewie ręce opadły. Głosem zmienionym spytała:

— Jakto spokoju nie daje. Powiedz wszystko, moje dziecko.

— A tak, proszę pani... spokoju mi pan nie daje. Nie mogę się oddalić ani na krok od domu, bo zaraz mnie przesładuje, a nawet gdy na chwilę zostanę sama w pokoju, to... to... A teraz pan mi powiedział, że mi już dziś nie daruje, że do mego pokoju...

— Ależ, panno Józefo...

— Proszę pani, pan jest taki... Przecie Nastka to się przechwała, że panu w twarz dała, bo i ja... także...

Ewa drgnęła.

— Dość! dość! nie chcę już o niczem wie-

\*) Szkic ten jest dalszym ciągiem szkicu powieściowego, drukowanego w „Bluszczu” w r. 1900-ym p. t. „Dziwaczka.”

dzieci! Proszę, idź pani do dzieci i nie obawiaj się odtąd niczego.

Bona się oddaliła, a Ewa stała wciąż, jak gromem rażona.

— Więc to tak? — powtarzała w myśli. — Więc to tak?!... Jakże śmieszną byłam, jak śmieszną! ja, co przed chwilą...

I zaniósła się gorzkim, szyderezym śmiechem, a łzy upokorzenia i żalu z oczu jej biegły.

Na widok idącego ogrodnika cofnęła się instynktownie, aby nie wyczytał na jej twarzy cierpienia i ukryła się w pobliskiej altance.

— Hanuś, chodź sad zagrabieć, — mówił ogrodnik do tęgiej, hożej dziewczyny, która ukazała się z grabiami na plecach.

— A kaj to mam grabić?

— Adyć sad gościniec przede dworem. Ino rychtyg.

— No, no, będzie galanto.

Hanusia obejrzała się dokoła, zajrzała w okna dworu i poczęła głową kiwać z podziwu, poczem zerwała kilka kwiatów i przybrała nimi stanik i warkocze. Obciągnęła krasny kaftan, poprawiła sznury paciorków i wzięła się do grabienia.

Po chwili, widząc, że niema nikogo, śpiewać zaczęła.

Z ogrodu wracał Raclawski i na widok Hanusi, uśmiechnął się z zadowoleniem.

Usiadł na ławce wśród krzewów w pobliżu altanki i przemówił łaskawie:

— Śpiewaj, Hanusiu, śpiewaj!

Hanusia oczy zakryła.

— Eeej! kiej się dziedzica wstydam!

— Nie bądźże głupia. Nie wstydam się, ino śpiewaj.

— Ja ta nie uczona... kaj mi ta do śpiwu.

Raclawski zerwał się, obejrzał dokoła, a widząc że niema nikogo, dziewczynę ku sobie przyciągnął, pogłaskał ją po rumianych policzkach i przyglądał się jej z upodobaniem.

— Istna krew z mlekiem! — mówił śmiejąc się, — jak łania! Udała się dziewczucha!

Hanka roześmiała się ochoczo:

— A cóżem to się nie miała udać?

Raclawski chciał ją pocałować.

— Co to dziedzic wyprawiają! o lo Boga! tak na oczach wszyckich, na prześmiewisko ludzkie. A dziedziczka...

— Niech zobaczy. Gdy ciebie, Hanuś, widzę, to głowę tracę...

— Niechno dziedzic dadzą spokój! O lo Boga z takim całowaniem! Widział to chto? Małom to już sobie bez pana bidy przypytała?

— Jakiej biedy?

— A bo to [dziedzic nie wiedzący? Dyc wedle dziecioka. Galanto mnie dziedzic naznakował. Abo nie?

— Ciszej!

— Bez tego dziecioka, to wszyscy ozory sobie wycierają o mnie. Sprawiedliwie mówię. Nie trza chyba dziedzicowi powiadać.

— No, no, ale za to będziesz miała co jeść, do końca życia. Ino bądź dobra, Hanuś, bądź dobra...

Hanka wzruszyła ramionami.

— A cobym ta nie miała być. Wielgie mi termedyje... Hale dziedzic to nijakiego uważania nima.

— Hanuś, przyjdiesz dziś, wiesz tam — wieczorem...

Hanka się roześmiała i spojrzała zalotnie.

— Juści, kiej ino dyscu patrzeć. A wi-chrzysko. Słysą dziedzic, jak swiscey?

— Przecie tam cicho i nie zmokniesz.

— Bogać tam nie. A to ci dmie! Pewnikiem się jakie złe obwiesiło.

Istotnie ściemniło się nagle. Niebo zwisło nad drzewami pełne grozy, ołowiane. Wicher szamotał się i huczał.

— Hanuś, a czemuś to w niedzielę nie była? Zapomniałaś?

— Cobym ta miała zapomnieć.

Zerknęła figlarnie i z zalotną minką do-dała:

— Abo to mi dziedzic ciągiem na oczach nie stoją? Może nie? Ino, że mi dzieciok ce-goś matyjosil, to mnie markotność zdjęła... Mnie się ta przez dziedzica zara cknii, marko-ci. A ino...

Raclawski uśmiechnął się zadowoleniem.

— No, no... a Antek tam nie zagląda do ciebie? Słuchaj — pogroził, — jak mnie tu żywym widzisz, jeśli mi się ten walkoń będzie koło ciebie włóczył, to jemu i tobie łeb roz-walę. Rozumiesz? Słyszysz!

— Chto? Niby Jantos?! eee! ni!... Jak mi Boga przy skonanu potrza. Sielny chłop, bo sielny, a hardy, a nieustępliwy.

Zrobiła minę wzgardliwą.

— Ale ja ta bardzo o niego stoję, tyła co o ten śnieg z łośkiego roku.

Raclawski przyciągnął ją ku sobie.

— Słuchaj — mówił, — biegnij do domu, a jak burza przejdzie, to wiesz... Ja tam będę czekał. Przylecisz?

— Ino do domu wpadnę i celek obrządę, w mig będę, — zawołała radośnie Hanka i po-biegła.

Raclawski czapkę nacisnął i chciał się od-dalić, gdy jakby z ziemi wyrosła, stanęła przed nim Ewa.

Słyszała ona w altanie wszystko i błada, drżąca, stała teraz przed nim, nie mogąc sło-wa przemówić. I tylko wzrok w nim utkwi-ła uporeczywy, błyszczący, a w spojrzeniu tem była cała jej dusza, boleść i wzgarda.

On był jakby piorunem rażony, jakby przy-gwożdżony tym wzrokiem do ziemi.

Ściemniło się jeszcze więcej i tylko błyskawice rozdzierały ciemności, a od czasu do czasu grom zahuczał. Wiatr począł podno-sić tumany piasku, zrywać kwiaty i liście i gnać, pędzić przed siebie. Uspokoił się na chwilę i znów z głuchym świstem bił w drze-wa, szamotał niemi, łamał gałęzie i szalał.

Raclawski wściekłym, syczącym głosem wy-szeptał:

— Byłaś tu, szpiegowałaś?

— Byłam w altance i słyszałam wszystko.

— No i cóżes usłyszeć, cóżes widzieć mo-gła? Cóż u pioruna! Żem z Hanką rozmawiał, żem jej rozkazy na jutro wydawał?! No cóż, do stu kroć, może mi tego zabronisz? Może mi już do dziewczyn mówić nie wolno?

Fala krwi uderzyła na twarz Ewy.

— Romanie — rzekła tylko, — nie przysto-ja ci chyba takie kłamliwe wykręty.

— Jakie kłamliwe wykręty? — krzyknął Ra-clawski. — Czyś oszalała?! Tłómaczyć ci się

nie potrzebuję? A zresztą tak, więc tak, ba-wię się. Więc cóż?! Do stu kroć, nie mam potrzeby kłamać, ani ty mi nie możesz nie-winnych żartów zabraniać! Mam prawo ba-wić się, jak mi się podoba i jak chcę! Rozu-miesz?!

— Więc ty nazywasz to załawą?

— Słuchaj! — syknął Raclawski, — ani mi się waż Hanki czepiać, słyszysz? do pioru-na! bo będę miał sto na jej miejsce, a pisać ci nie wolno. Rozumiesz?

Nastąpiła długa chwila milczenia. Raclawski dyszał z wściekłości. Z oczu Ewy tryskały błyskawice, ale pohamowała się raz jeszcze.

— I ty myślisz — zaczęła stłumionym gło-sem, — że ja na to patrzeć będę? ja, co oi wiele darowałam tam, w mieście, bo sądzi-łam, że wiesz, przyroda, wpłynie na ciebie ina-czej, ja co sama... ty wiesz przecie, jaką je-stem... Ja, co przed chwilą...

— To nie zasługa... Kobieta to co innego... Wiarołomną zabić można. Nie masz się czem chlubić. Wracaj do dzieci.

— A ty?

— Przyjdę niedługo.

Chciał się oddalić, lecz ona zaskoczyła mu drogę, drżąc z oburzenia i wzgardy.

— Jakto? więc ty tam idziesz? I sądzisz, że ja się zgodzę na taką hańbę, na taką zniewagę czci mojej? Do tego stopnia jesteś czelnym, że mi tę zniewagę w twarz rzucasz?

Wyciągnęła rękę.

— Więc idź! Wolna droga! Ale z tą chwi-lą przestaję być twoją żoną... i twoją ofiarą! I na prochy rodziców moich klnę się... nie wrócę więcej do domu.

W tej chwili rozległ się grom przeciągły i zajaśniała błyskawica.

Ona stała z głową wzniesioną, z oczyma błyszczącymi wzgardą.

Spoglądał na nią z podziwem, z niedowie-rzaniem, wreszcie odezwał się drwiąco:

— Oszalałaś, czy co? Grozić mi zaczynasz? Gdzież to iść zamierzasz? Cóż to, zachciało ci się na pasku mnie wodzić? A to doskona-łe. Nie rozumiem doprawdy, jak taka du-mna pani może być zazdrosna o dziewczkę.

— Gorzej, niż zazdrosna, bo upokorzona. Im niżej stoi przedmiot twoich afektów, tem cięższa dla mnie zniewaga. Czy ty tego nie czujesz?

— Milcz!

— Bezwstydnny!...

— Idę do Hanki, będę z nią żył i sprowa-dzę ją do domu na twoje miejsce.

Wzdrygnęła się i prawie nieprzytomna krzy-knęła za odchodzącym:

— Więc i ja pójdę... do niego...

Ale wiatr już jej tylko odpowiedział głu-chem, przeciągłym wyciem.

Roman odszedł.

Patrzyła za nim, jak błędna. Rozpacz, zdumienie, oburzenie bez granic, zdeptane w niej duma i godność, straszne upokorzenie, miota-ły nią, juk wicher. On ją przecie policzko-wał poprostu, on z niej drwił, znieważał ją jawnie...

Mogłaż na to pozwolić, stać się ofiarą i po-śmiewiskiem?

Ona, w której było tyle dumy i buntu? Ona co dla niego, wależyła tak długo z po-



kusą i nie uległa, przed chwilą odtrąciła kochającego ją człowieka... dla niego.

Z jękiem bolesnym tuliła się do osłizgłego drzewa, szarpana bezgranicznym bólem, poczuciem krzywdy i osamotnienia. Porzucona, znieważona i sama jedna na świecie.

Jęk jej biegł po przez szum drzew, huk piorunu i świst wichru i zdał się wibrować, wzmagać i razem z tem ponurem wyciem wołać o sprawiedliwość i pomstę.

Ach ramion, ramion kochanych, co ją podźwigną, osłonią i utulą, i w których zapomni o swem poniżeniu sromotnem!

Nie czuć się taką zdeptaną. Ulgi, ulgi za jaką bądź cenę!

Burza się wzmogła, Ewa przypadła do ścian dworu, a deszcz ją smagał, wichur nią szalał.

— Dzieci! moje dzieci! — szeptała niemal nieprzytomnie z bólu.

Przez chwilę zdawało się, że się przezwyceży, że wbiegnie do nich, ale od progu cofnęła się.

— Powrócę po was! powrócę! — szepnęła.

Straszne, rozdzierające łkanie dobyło się z jej piersi i zniknęła wśród ciemności i wichru, pędząc na osłep, jak szalona...

## II.

Karol wsłuchiwał się w szum wichru i w wycie burzy, przechadzając się gorączkowo po swym pokoju.

I nim miotała burza. Od czasu do czasu błyskawica oświecała jego twarz wzburzoną i bladą. Chwilami zatrzymywał się przy oknie i patrzył w ciemność chmurnym, posepnym wzrokiem.

Więc znów ją stracił przez swą nieogledność. Kto wie, może tym razem na zawsze? Przystanie go przyjmować, będzie go unikała. Jaka niezłomność zasad w tej kobiecie...

I czemuż ona jest taką? Czemu nie jest jedną z tysiąca barwnych motyli, które każdy kwiat pociągnie...

A może właśnie dlatego tak ją kocha, może to go tak przykuło do niej.

Cóż to za silna, niezłomna kobieta! Kochając, ucieka od niego, podczas gdy mąż ma dziesiątki miłostek po za domem.

I po raz pierwszy uderzyła go ta podwójna moralność i potworna w niej niesprawiedliwość.

Jakież to — myślał — niekonsekwentne... Gdyby ona, kochając, uległa, byłaby zgubioną, a jemu, mężowi, który łamie jej wierność na każdym kroku, nikt tego nawet za złe niema. I to jest sprawiedliwość...

A gdyby ona tak dowiedziała się o jego sprawkach... Ona ma chyba bielmo na oczach... Gdyby się tak dowiedziała... Ona taka dumna. Dopierożby jej oczy zapłonęły!... Byłaby porywająca w oburzeniu. Wyobrażam ją sobie...

Biegał gorączkowo i niespokojnie po pokoju. Miotało nim poczucie niemocy. Co począć? Dlaczego nim tak owładnęła? tak nadzwyczajnie?... Gdyby była panną z pewnością nie spojrzalby na nią. Chwilami zatrzymywał się i tarł czoło. Tysiące myśli, tysiące zamiarów przebiegało mu przez głowę.

A gdyby ją porwać...

Porwać... Ale co będzie potem, co będzie z dziećmi?...

Otrząsnął się niecierpliwie.

Ech, żeby nie to.

Stanął w oknie.

— Ale też burza i ciemnica, a wichura! po takim ślicznym dniu... Ach, żeby ją teraz mieć tu, przy sobie...

Nagle ktoś ujął za kłamkę. Karol spojrzął i cofnął się przerażony. Zdrętwiał.

Sen to czy mara? Onaż tu stoi u drzwi, przemoknięta, drżąca, do widma raczej podobna?

Wyraz bezgranicznego zdumienia malował się na jego twarzy. Zdało mu się, że śni, że marzy...

— Pani! tutaj?!

Ona oparła się o ścianę, blada jak śmierć, z rozwianym włosom, z błędnymi oczyma, zmoczona, zziębnięta, wstrząsana febrycznym dreszczem. Oddychała szybko, nie mogąc słowa przemówić.

Serce zaczęło bić mu gwałtownie, ogarniało go silne, a zarazem pełne litości wzruszenie.

Wyciągnął do niej ręce.

— Dziecinko moja... pani Ewo, co się stało?

Na dźwięk jego słodkiego głosu załkała, głowa jej zwiśla mu na ramię.

— Tam ohyda straszna — szeptała wśród łez, — tam już wszystko dla mnie skończone...

I łkała strasznie, rozpaczliwie, nie zdając sobie sprawy kto ją przygarnia, obejmuje, przytula, wiedząc tylko, że to jest serce, które ją kocha, u którego przyszła szukać oparcia, jedyne oddane jej serce na świecie.

A on, gdy drżącą jej postać uczuł w swym objęciu, dzika nim radość wstrząsnęła.

Pociemniało mu w oczach. Przytulał ją łkającą coraz silniej, coraz namiętniej, poczem jak oszalały pociągnął ją za sobą na kanapkę i począł całować jej oczy, usta...

Chciała mu się wyrwać, lecz jego szłał ją obezwładnił. Czowała, że jej to przynosi jakieś cudowne ukojenie, ulgę...

Był to jakby pieścizliwy, słodki narkotyk, jakby olśniewający huragan, który w niej burzę bólu tłumił, zagłuszał.

Cudne, boskie upojenie!

Blada, odurzona, zwiśla w jego ramiona bezwładnie.

On zaś tulił ją do siebie coraz mocniej i wpijał się rozpalonemi usty w jej ramiona, szyję...

Nagle zerwała się ostanim wysiłkiem woli.

— Panie Karolu, zwróciłam się do ciebie, jak do jedynego, oddanego mi serca. Ja wierzyłam, ja chcę wierzyć, że mnie uszanujesz. Panie Karolu, twemu honorowi się powierzam.

Na jego pobladołej, wzburzonej twarzy odbiła się straszna walka.

— Pani, wszak i tak będziesz zgubioną...

— Wiem i już zdaję sobie z tego sprawę. Popęliłam szaleństwo, poszłam za popędem bólu, który szuka ulgi i odwetu, więc tem samem upadłam, ale chcę być czystą.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



## Bez szczęścia.



Oj! mam ci ja lirę złotą  
Co mi życia jest pieścizotą,  
Mam ci w duszy piosnek roje  
Jak tęczowej wstęgi zwoje,  
Mam ja gwiazdy... niebo słońce...  
Mam ja w sercu skarby lśniące  
Jeno szczęścia nie mam!...  
nie!...

I mam ci ja skrawek nieba,  
I czarnego kawał chleba...  
I mam ci ja złote zorze,  
I szerokie pól przestworze,  
I poranne to świtanie,  
I mam w sercu miłowanie...

Jeno szczęścia nie mam!  
nie!...

Tak mi w duszy pieśni płaczą,  
Tak się cierniem drogi znaczą,  
Kędy stąpnę, wędną kwiaty,  
Przygasają zórz szkarłaty,  
Próżno trącam lirę złotą...  
Jeno ci mi drga tęsknotą  
Oj!... na świecie żyć mi źle!...

Zofia Fertner-Korczyńska.



## Ze sztuk plastycznych.



W Sobotę d. 16-go b. m. w salonach naszej Zachęty Sztuk pięknych odbyło się uroczyste otwarcie IV-ej wystawy dorocznej, która stanowi rodzaj „Salonu“ warszawskiej, gdyż gromadzi ona dużą większość rocznego dorobku artystycznego naszych artystów, którzy w bardzo okazałej liczbie stają tu do apelu.

Tegoroczna wystawa jest najliczniejszą ze wszystkich poprzednich, zarówno co do ilości nadesłanych na nią prac, jak i co do liczby artystów, przyjmujących w niej udział.

Przeszło 140-tu wystawców nadesłało 369 prac z zakresu malarstwa, rzeźby, grafiki, zdobnictwa artystycznego i architektury — plon tak bogaty, iż narazie rozejrzeć się w nim wprost trudno; na ogół jednak znać wysoki poziom artystyczny wystawy, na której obok imion tak zaszczytnie znanych w naszej sztuce, jak Malczewski, Brandt, Bakalowicz, Aksentowicz, Fałat, Kossak, Wierusz Kowalski, Żmurko, spotykamy cały zastęp młodych artystów, którzy niejednokrotnie złożyli dowody swego talentu; dosyć okazała jest też lista osób, z których pracami spotykamy się tu po raz pierwszy, gdyż nie wystawiali oni dotąd w warszawskich salonach sztuki.

Całość wystawy zasługuje na szczegółowe omówienie, co też nie omieszkamy w przednim czasie uczynić.

Przed niedawnym też czasem otwarto w Salonie sztuki p. Kulikowskiego niezmiernie zajmującą wystawę plac malarskich Maryana Wawrzeńckiego, obejmującą dwuletni dorobek tego wysoce utalentowanego i kulturalnego artysty. Dokładne sprawozdania z wy-

stawy tej podamy też wkrótce naszym czytelnikom.

(sk. st.)



## Sztuka i literatura zagraniczna.



\* Ostatnią nowością „Odeonu“ paryzkiego była 4-aktowa sztuka pp. Guinon i Bouchinet: „Son père“ („Jej ojciec“). Krytyki paryzkie zaznaczają wielkie powodzenie sztuk i zainteresowanie dobrą robotą sceniczną. Istotnie skoro sztuka miała powodzenie, robotą musiała być bardzo dobrą, gdyż treść nie należy do nowych. Małżeństwo Orsier od lat 20-tu ze sobą nie żyje. Pani Orsier porzucona przez bardzo kochanego męża, hulakę i utracysza, żyje z córką swoją Janiną, w bardzo skromnych warunkach i uchodzi za wdowę. W Janinie kocha się młody człowiek, urzędnik, niezamożny; młodzi ludzie postanawiają się pobrać, a narzeczony ma na dwa lata pojechać do Congo, ażeby tam zdobyć majątek. Tymczasem po latach 20, pan Orsier, zdobywszy duży majątek, przypomnieć się zapragnął pamięci córki i żąda, by do niego na czas pewien przyjechała. Obie z matką nienawidzą tego, który przez tyle lat był dla nich obcy, obie opierają się stanowczo rozłącze, lecz prawo jest przy ojcu i Janina jechać musi. Pan Orsier robi wszystko, co może, aby oczarować córkę i obsypuje ją zbytkiem, pieścizotami, towarzystwem młodzieży kwintnej; walkę stacza dość długą, lecz na końcu zwycięża; Janina jest podobna do ojca; wychowanie matki uczyniło ją tylko pozornie inną; lubi zbyt, lubi zabawę, a nadewszystko polubiła jednego z ojca młodych przyjaciół, który wyznaje jej swoją miłość. Matka zaniepokojona, przyjeżdża gwałtem chce zabrać córkę, występuje w imieniu narzeczonego, lecz nadaremnie; Janina zostanie, pójdzie za tego, którego teraz pokochała; z serca obojga rodziców, powoli znikła nienawiść i żal, i ze smutkiem, dla dziecka, podają sobie ręce. Wzruszające, żywe, doskonale sceniczenie zrobione sceny zastąpiły, małą oryginalność treści.

\* Panowie de Flers i Caillavet, wesoła i dowcipna spółka, znów wystąpili w „Théâtre français“ z nowym utworem p. t.: „l'Évantail“ który, acz nie był tak dobry i subtelny, jak „L'amour veille“—niemniej jednak skrzył się humorem i dowcipem. Postacie pp. Flers i Caillavet, to już nie żywi ludzie, to są „typy teatralne“, szkieletowane z niesłychaną lekkością. W „Wachlarzu“ autorowie pozwolili sobie na zbyteczny symbolizm w lekkiej komedii zupełnie nie na miejscu. Pewna młoda, piękna kokietka i poważny, człowiek mają się pobrać. Pewnego dnia narzeczony dostaje depezę, w której zwrócone mu jest słowo. Przyjmuje to w milczeniu, nie pytając o przyczynę. Po latach ośmiu znów się spotykają — (od tego się sztuka zaczyna), wypowiadają sobie wszystkie żale, nieporozumienia i w końcu się łączą. Franciszek Trevoux jest figurą bardzo żywą, do-

koło niego skupia się grono małe doskonałych typów, które flirtuje, bawi się, dowcipkuje i to wszystko zajmuje 4 akty, nie nużąc czytelnika, w czem zasługa lekkiego kronikarskiego talentu wesołej spółki.

\* Wiedeński Burgtheater wystawił najnowszą sztukę znanego i cenionego powieściopisarza Ludwika Ganghofera, p. t. „Sommernacht“, wierszem. Autor poruszył w dramacie swym kwestyę zdrady małżeńskiej. Hrabia Berneck, pozostawiwszy w domu ukochaną małżonkę, aby udać się do siostry, którą mąż zdradził, i zabrać ją z dziećmi do siebie, powraca po kilku tygodniach w letnią, cudną noc i zastaje u ubóstwianej żony kochanka. Kochanek ratuje się ucieczką i, wyskakując oknem, zabija się na miejscu. Mąż pomszczony; lecz nie nasycił jeszcze zemsty nad wiarołomną, chce ją zabić; ale ona wyznaje mu tajemnicę, że zostanie matką; to dziecko jest bezwątpienia jego dzieckiem, dla niego musi jej przebaczyć. I przebacza, ulegając namowom siostry swej, która także dla dzieci gotowa zapomnieć ciężką krzywdę zdrady, jaką jej mąż wyrządził. Akcja toczy się w XVII-ym wieku.

\* Puścizna po zmarłym niedawno poecie francuzkim, Sully Prudhomme, składa się, jak czytamy w „Figarze“, z tomu niedrukowanych dotąd nigdzie wierszy, które ukażą się w druku w ciągu zimy, i niedokończonego szkicu do dzieła filozoficznego, które również ma się ukazać, o ile poeta nie rozporządził inaczej; wiersze te są przeważnie pisane w latach młodocianych. Dzieło zaś prozą miało być odbiciem jego światopoglądu p. t. „Le Lien social.“ Przed wielu laty Sully-Prudhomme naskicował przedmowę do „Biblii ludzkości“ Micheleta i myśli swoje zamierzał rozwinąć w dużym dziele. Pierwszy szkic był już gotowy i dany do przepisania, tymczasem kopia zagubił cenny manuskrypt. Poeta wziął się powtórnie do pracy, ale choroba przeszkodziła mu — i to, co zdążył napisać, jest tylko krótkim streszczeniem. Majątek swój cały poeta przeznaczył na utrzymanie mieszkania, które zajmował przy ulicy St.-Honoré, a pięciu swym przyjaciołom polecił zająć się organizacją tego mieszkania, które ma utrwalić pamięć poety i być „Muzeum Sully Prudhomme'a.“ W ten sposób sam utrwalił swoją własną sławę.

\* Znana powieść Matyldy Serao „Dopo il perdono“, przerobiona została na scenę przez Piotra Decourcelle'a. W Paryżu sztukę tę ma grać po raz pierwszy znana artystka Réjane, która oświadczyła, że od czasów „Damy kameliowej“, nie było dla artystki tak doskonałej roli, jak Maryi Guasco. We Włoszech rolę Maryi grać ma Eleonora Duse.—Tymczasem w końcu ubiegłego lata Sara Bernhardt napisała do M. Serao, że syn jej, Maurycy, przeczytawszy powieść, tak się zapalił do roli bohaterki, że prosi o pozwolenie przerobienia jej na scenę, widzi bowiem doskonałą rolę dla swej matki. Ponieważ jednak dramat był już napisany, musiała więc autorka odmówić znakomitej artystce. Dramat jest czteroaktowy; trzy rozgrywają się w Rzymie, jeden w Wenecji; epilog zaś nad jeziorem Czterech Kantonów.

\* Wkrótce ukazać się ma w Paryżu, w trzech tomach, z przedmową Maurycego Barrésa, korespondencya Stendhala: „Correspondance de Stendhal 1800—1842.“ Nowe to wydanie obejmować będzie nie tylko 500 poprzednio wydanych listów, z niedokładnym tekstem i przekręceniem wielu nazwisk, obecnie poprawionych,—ale i 200 dotąd nie publikowanych

\* Catulle Mèndez pisze obecnie sztukę dla Sary Bernhardt p. t. „Trzy pszczoły.“ Temat: pobyt Napoleona na Elbie. Dramat będzie pisany prozą, bo, jak powiedział autor: „Nie mogę kazać Napoleonowi mówić wierszami.“ Autor przebywa obecnie na Elbie, aby dokładniej zbadać teren, na którym dramat jego się rozgrywa.

\* Ryszard Strauss, autor „Salome“, kończy nową operę p. t. „Elektra“, do dramatu Hoffmannsthal'a, przyczem, tak, jak i w Wilde'owskiej „Salome“ trzymać się będzie najściślej tekstu. — Z racyi nowej opery R. Straussa i świeżo wystawienia „Elektry“ Sofoklesa w Komedji francuskiej, jedno z pism paryzkich podaje ciekawe zestawienie, jak często tragiczna historia córki Agamemnona była przerabiana przez dramaturgów i kompozytorów. Pierwszy raz ukazała się na scenie w 1537 r. uscenizowana przez Lazara Baëf. Następnie wystąpił Pradon. W 1708 wystawia „Elektrę“ Crébillon, a w 1719 Longepierre. Voltaire historią Elektry wzrusza czytelników w dramacie „Orestes“, a Aleksander Dumas w „Orestie.“ Wreszcie L'Archer w 1756 wystawia wolny przekład z Sofoklesa. Muzykę do Elektry pisali Guillard (r. 1782), Hoffner (1785) de Grétry (nigdy nie była wystawiana) — wreszcie słynny już Ryszard Strauss — Pierwsze przedstawienie odbędzie się w Berlinie.

\* Gerhart Hauptman pracuje nad nowym dziełem; po temat sięgnął do czasów starogermańskich, do legend z epoki Karolingów, akcja zaś obracać się będzie dokoła postaci cesarza Karola Wielkiego.—„Hanusia“ Hauptmana wystawiona będzie w sezonie zimowym w Paryżu, jako opera z muzyką Erlangera. Tytuł będzie: „L'assomption d'Hannele Matern.“

\* W Wiedniu wystawiona będzie wkrótce nowa operetka słynnego autora „Wesołej wdówki“ Lehara—„Mąż z trzema żonami.“

\* W Wiedniu wystawiono w przeróbce sceniczej słynny utwór Oskara Wilde'a „Portret Doriana Gray.“ Przeróbka jest niezręczna, utwór zupełnie się na scenę nie nadaje; zrobiono melodramat bulwarowy, bez cienia symboliki i ducha oryginału. Sztukę przyjęto bardzo niechętnie.

\* Znany we Włoszech sceniczny poeta Gianino Travesti kończy nowy dramat p. t. „Im artiri di lavoro“, który wystawiony ma być w Stycznii w Teatrze Argentina w Rzymie.

\* Pałac dożów w Wenecji będzie w najbliższym czasie w znacznej części przemieniony na muzeum, w którym znajdą pomieszczenie zbiory broni z obecnego muzeum miejskiego i arsenału, wszystkie trofea wojenne weneckie, stare monety, słowem wszystko, co ma związek z historią Wenecji.

## Ze Stowarzysz. umysłowo pracujących Polek.

Dnia 14-go b. m., na posiedzeniu wieczornem w lokalu Związku, mówił d-r Konczyński o najnowszych przekładach komedyi Arystofanesa: „Żaby“ i „Chmury.“ Wyborne tłumaczenia p. Ciągłowicza wiernie oddają wszystkie zalety oryginałów i stanowią cenny nabytek dla piśmiennictwa naszego. Tak doskonałym przekładem mało która literatura poszczycić się może.

D-r Konczyński w treściwych zarysach scharakteryzował tło, na którym akcja się odbywała, a wnikając myślą w ducha ówczesnej epoki, znalazł wiele analogii do naszych współczesnych stosunków. W Helladzie walczyły wtedy dwa prądy: konserwatywny i postępowy, a obydwie te kierunki miały wybitnych przedstawicieli. Arystofanes był czcicielem tradycji i starego porządku, a ostrza jego satyry zwracały się przeciw filozofom, wyrazicielom kierunku reformatorskiego i postępowego. Oceniając dzisiaj jego poglądy, widzimy, że mimo subtelności zmysłu krytycznego, nie ustrzegł się mistrz komedyi greckiej przed błędami i pomyłkami. W ocenie ludzi i stosunków brakło mu bezstronności i jasności sądu, czego dowodem jest, że utożsamia zasady Sokratesa z kierunkiem sofistów, cięcia swego dowcipu równocześnie przeciw nim zwracając.

W niedzielę, dnia 17-go b. m., odbył się pierwszy wykład prof. Wł. M. Kozłowskiego z cyklu: „Filozofia XIX-go wieku.“ Prelegent mówił o St. Simonie i St. Simonistach, a zaczął od wyjaśnienia związku między myślą XVIII i XIX-go stulecia. W początkach wieku XIX-go uwydatniło się przejście od indywidualistycznego prądu do społecznego, a przejście to stanowi niejako korektywę tych idei, których posiew rzuciła wielka rewolucja francuska. St. Simon i jego prozelici stanowili właśnie ogniwo między tymi kierunkami, byli oni pierwszymi pionierami myśli społecznej i filozofii. St. Simon nie był twórcą nowego systematu filozoficznego, lecz był tylko budzicielem ducha, popychającym społeczeństwo w kierunku nowego organizowania życia.

Prelegent scharakteryzował St. Simona, jako idealistę, rzucającego śmiało fundamenty pod nową, ulepszoną budowę społeczną, i zapoznał słuchaczy z treścią najważniejszych dzieł jego: „Mémoires sur l'homme“, „Réorganisation de la société“ i „Nouveau christianisme.“ Następnie opisał mówca koleje gminy St. Simonistów w Menilmontant pod Paryżem i roztrząsał ich działalność społeczną i literacką, poświęcając obszerniejszą wzmiankę Enfentin'owi i Bazard'owi, jako najwydatniejszym przedstawicielom szkoły.

Następny wykład o filozofii Comte'a odbędzie się w niedzielę, dnia 1-go Grudnia.

z. b.

## Z polskiego Stowarzyszenia Równoprawnienia.

W dniu 11-ym b. m., w lokalu Stowarzyszenia równoprawnienia kobiet polskich, odbyło się posiedzenie Sekcji społeczno-ekonomicznej. Na przewodniczącą powołano p. Jastrzębską, na sekretarkę p. Łukomską. Pani Teodora Męczkowska odczytała najpierw sprawozdanie z dotychczasowej działalności Sekcji i plany na przyszłość. Następnie zebrani omawiali sprawę połączenia się w Tow. Kultury polskiej, w kwestyi zbierania danych o in-

stytucjach i stowarzyszeniach społecznych. Po ożywionej dyskusji nad wnioskiem, nastąpiło głosowanie, którego rezultatem była rezolucja połączenia się z Tow. Kultury, zastrzegając sobie jednakże prawo użycia zebranych materiałów do wydawnictwa projektowanego przez Stowarzyszenie.

Następnie pani Bornsteinowa odczytała projekt swego kwestyonaryusza dla szwaczek, — omawiano dalej kwestyonaryusz dla pracownic biurowych i handlowych. W końcu uchwalono posiedzenia Sekcji zwoływać w każdy pierwszy Poniedziałek miesiąca.

W temże Stowarzyszeniu odbyło się 12-go b. m. posiedzenie Sekcji prawno-politycznej. Przewodniczyła pani Koszutska. P. mecenas Łypaciewicz objaśniał zebrane licznie członkinie Sekcji o istniejących u nas wydawnictwach zbiorów i komentarzy praw, w języku polskim. Wydawnictw tych jest na ogół nie wiele, ze względu na rosyjską procedurę karną, polecał jednakże mówca wydanie: „Powody do praw cywilnych“, Godlewskiego, które każda, interesująca się życiem prawno społecznym kobieta, znać powinna. Następnie odczytywano streszczenia i referaty z pism kobiecych czeskich i francuskich. Posiedzenia Sekcji odbywać się mają co tydzień, we Wtorki. Celem możliwie najszybszego i dokładnego obznajmienia pracujących w Sekcji z prawami u nas obowiązującymi, które p. Łypaciewicz podejmuje się komentować, streszczać i wyjaśniać.

## Ze Stow. kob. prac. w handlu, przem. i burowości.

W niedzielę, d. 17-go b. m., odbył się w Sali Tow. Wioślarskiego odczyt redaktora Wł. Bukowińskiego, urządzony staraniem Stow. Kobiet pracujących w handlu, przemyśle i burowości.

Treścią odczytu było porównanie dwóch arcydzieł poezji polskiej: „Trenów“ Kochanowskiego i „Ojca zadumionych“ Słowackiego. Odmalowawszy barwnie i z wielkim umiłowaniem przedmiotu tło dziejowo-społeczne postaci tych dwóch poetów, mówca z artyzmem analizował oba dzieła, wykazując, że Kochanowski dał w swym poemacie całego siebie, całą potęgę rozpaczyci ojcowskiego uczucia, po stracie ukochanego dziecka — Słowacki zaś, wzywając się w uczucia cudze, stworzył poemat-arcydzieło skończone, jako treść i cudowną formę, arcydzieło, przed którym nawet wymierające już pokolenie surowych krytyków Juliusza chyliło czoła. Zakończył p. Bukowiński przypomnieniem, że za 2 lata przypada setna rocznica urodzin poety, którego popioły, dotąd na obcej ziemi, mogił rodakom umarłym zazdroszczą i powoływał Warszawę, tak przez Słowackiego kochaną, do starań o sprowadzenie zwłok jego do kraju i wystawienie mu skromnego bodaj pomnika.

N. J.

## Działalność kobiet w instytucjach Gminy Ewang.-Augsburskiej w Warszawie \*).

Przedstawiając sprawozdania z czynności powyższych instytucji, zaznaczyć należy, że

Warszawski Zbór Ewangelicki oddawna posiadał pewne przywileje. Wolno mu było w sprawach swych kościelnych, oraz w sprawach dotyczących się szkolnictwa i dobroczynności swej parafii, mieć pewien ograniczony samorząd, możliwość zrzeszania się, zbiorowych ofiar, dobrowolnych stałych składek, wreszcie zarządzania majątkiem zborowym.

Jakkolwiek drobna to była władza, nie wiele znacząca, zakreślona w bardzo szczupłych granicach, jednak wywarła ona nawet w tych ramach pewien wpływ dodatni, utrzymała choć w części ducha samorządu i samopomocy, w garstce ludności warszawskiej wyznania ewangelickiego. Pomimo, że prawo głosu i udziału w obradach ma każdy zborownik, umiejący czytać i pisać, opłacający składkę parafialną dowolnej wysokości, zainteresowanie sprawami parafialnymi nie jest zbyt wielkie. Na dorocznych zebraniach ogólnych zborowych, bywa stosunkowo mała ilość zborowników. Obojętność tę przypisać należy temu, że mężczyźni w ogóle mniej się interesują sprawami religijnymi i dobroczynnymi. Kobiety zaś na mocy dotychczasowych ustaw bezpośredniego udziału w zebraniach zborowych nie mają.

Mimo to, od bardzo dawnego czasu przyjmowały żywy udział w zawiadywaniu instytucjami dobroczynnymi zborowemi, a o ile wpływ ten był pożądanym i dodatnim dowodzi fakt opisany przez Ludwika Jenikego w „Kronice Zboru Ewangelickiego“ (str. 85 i 86).

Gdy w roku 1853 im postanowiono wybudować oddzielny dom starców i sierot, na ulicy Erywańskiej nr 4, z inicjatywy starszego Wydziału jałmużniczego, zasłużonego Zborowi d-ra Oettingera, równocześnie powstało pod nadzorem Kollegium kościelnego Stowarzyszenie Dam, mające na celu opiekę nad sierotami i dziećmi ubogich ewangelików w mieście. Komitet nowej tej instytucji składać się miał, według projektu ustawy: z prezydującej, wiceprezydującej i opiekunek, obieralnych na trzy lata; wreszcie z prezesa Kollegium, starszego wydziału jałmużniczego, opiekunów szkół, starszego wydziału szpitalnego i sekretarza Komitetu. Na posiedzeniach opiekunki miały mieć głos stanowczy, inni doradcy, — uchwały zaś Komitetu, niezależnie od opinii Kollegium, bez sankcji nawet władzy rządowej, wchodziły w wykonanie. Fundusze stowarzyszenia stanowić miały składki, zapisy i darowizny. Projekt ten Kollegium, z wnioskiem przychylnym, pod d. 17-ym Kwietnia przedstawiło Konsystorzowi, który atoli, oświadczając, że nie ma nic przeciwko temu jeżeli Kollegium do pomocy nad sierotami przybierze sobie damy — odmówił zatwierdzenia projektu, w powyżej przytoczonej jego osnowie, twierdząc, że nie posiada on dostatecznej prawnej, ani finansowej podstawy.

W formie, więc przez Konsystorz wskazanej, Stowarzyszenie zostało zawiązane tymczasowo, a dopiero w kilka lat później, już po śmierci zacnego Oettingera, na zasadzie Ustawy, przez Konsystorz stosownie przerebioniej, uzyskało zatwierdzenie.

Przytoczony powyżej wypadek, wykazuje jasno, do jakiego znaczenia doszedł wpływ parafianki, nie tylko do równoprawnomocnie-

\*) Niniejszy zarys, opracowany został przez wybitne przedstawicielki gminy Ewangelicko-Augsburskiej, w odpowiedzi na Kwestyonaryusz wydawnictwa Elizy Orzeszkowej „Kobieta w życiu społecznym.“ Pragnąc zapoznać czytelniczki „Bluszczu“ z działalnością kobiet w wybitniejszych instytucjach, związkach i stowarzyszeniach polskich u nas i zagranicą, zamieszczac będziemy dalsze odpowiedzi według wyżej wymienionego Kwestyonaryusza, streszczając najważniejsze punkty, na które w sprawozdaniu należy zwrócić uwagę. Kwestyonaryusz został też zamieszczony w wydanej ostatnio broszurze: „Ruch kobiecy“ (cena 25 kop.). Dochód przeznaczono na Instytut pedagogiczny imienia Orzeszkowej. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

nia, ale nawet Kolegium kościelne było zdecydowane dać pewną supremacyę. Kolegium kościelne zdecydowało się nie tylko do równouprawnienia swych zborowniczek, lecz zamierzało nawet udzielić im pewnej supremacyi.

Równouprawnienie nie zostało nam przyznane przez władzę, to dawne zapoczątkowanie jednak winno nam być bodźcem do pracy w dobie obecnej.

Stow. Dam przestało istnieć w r. 1863-im, a odrodziło się ponownie w dziesięć lat później, w 1874-ym r. na zasadach zbliżonych do powyżej wymienionych, jeżeli nie w teorii, t. j. w danej ustawie, to w czynach, w praktyce.

Stosując się do wymagań chwili i zdobywając sobie coraz to większe prawa zwyczajowe, Stow. Opiekunek doszło do znacznej samodzielności, rowinęło się szybko i w ciągu lat 33-ich dało Zborowi ewangelickiemu cały szereg instytucji wzorowo prowadzonych. Możemy też śmiało powiedzieć, że rozwój tych instytucji jest zasługą Komitetu opiekunek. Bez ich pomocy niewątpliwie rozwijałyby się one znacznie wolniej, a może do obecnego rozkwitu nie doszłyby wcale. Jako dowód posłużyć może Dom starców i kalek i Dom sierot, których liczba pensyonarzy została niezmienną w ciągu pół wieku, bez względu na zwiększenie się w dwójnasób liczby parafian.

Mimowolnie nasuwa się pytanie, jak obecnie przedstawia się w parafii ewangelicko-augsburskiej sprawa równouprawnienia płci?

Nie ulega wątpliwości, że poglądów Kolegium kościelnego z r. 1853-go obecny skład Kolegium nie podziela. Gdy w jednej z instytucji zborowych dokonano wyboru delegata do wydziału nadzorczego i znaczną większością wybrano kobietę, członkowie kolegium zarządzający tą instytucją uznali wybór za nieważny, motywując to niedopuszczalnością kobiet na urzędy honorowe w Wydziałach Kolegium kościelnego. W regulaminach zborowych, jakoby jasno uwydatnia się duch prawa, nieuznającego kobiety na stanowiskach honorowych.

Sprawa pozostaje w zawieszeniu, a na jesieni przy przejrzeniu i zatwierdzeniu regulaminu omawianej instytucji, ma być przez Kolegium ostatecznie rozstrzygnięta. Można mieć nadzieję, że większość w Kolegium stanie po stronie kobiet. Tymczasem można wyjaśnić, że w praktyce sprawa ta przedstawia się inaczej, gdyż w instytucjach takich, jak Wydział Opieki (zarządzającego przeważnie domem sierot) prawa kobiet i mężczyzn są w rzeczywistości zupełnie równe, a w Komitecie Opiekunek prowadzących i zarządzających największą ilością instytucji zborowych, prawie wyłącznie same kobiety decydują o wszystkim. Wprawdzie o postanowieniach komitetu, co do przyjęcia starców i nieuleczalnych, zawiadamia się Wydział Opieki, złożony z członków Kolegium opiekunów i opiekunek, lecz jest to w istocie formalność, gdyż nie było ani jednego wypadku, by Wydział Opieki zatwierdzenia odmówił. W innych sprawach decyduje samodzielnie i niezależnie Komitet Opiekunek.

Po tych słowach wstępnych, dopełniając wyżej powiedziane wiadomości, że w pierwszych pięciu dziesiątkach lat ubiegłego stulecia przy Zborze istniały szkoły, szpitale i dom starców na 38 osób, a w latach pięćdziesiątych, dom sierot na 50-ro dzieci, zaznaczamy, że w zarządzie przyjmowali udział głównie mężczyźni, kobiety zaś więcej pracowały w dziale opiekuńczym i gospodarczym.

Dom starców w roku 1902-im został połączony z Domem nieuleczalnych i przeszedł pod zupełne zawiadywanie Komitetu opiekunek.

## Kronika działalności kobiecej.



Sprawozdanie z działalności Instytutu Higieny Dziecięcej. (Litewska 16).

Wrzesień Październik

Porady ambulatoryjne		
a 15 kop.	567	703.
Dentystyka à 5 kop.	183	201.
Gimnastyka à 1 kop.	249	204.
Szczepienie ospy à 5 k.	72	1,312.
Kąpiele à 3 kop.	1,663	6,339.
Strzyżenie włosów	263	260.
Mleka wyjałowionego		
buteleczek à 1 kop.	7,782	9,533.

NB. Porady przeciwgruźlicze (w celu zapobiegania suchotom i innym chorobom płucnym) dla dzieci od 5—15 lat odbywają się w poniedziałki, środy i piątki od godz. 3—4.



## Chwila bieżąca.



— Dnia 14-go b. m. o godzinie 11-ej rano odbyła się uroczystość otwarcia III-ej Dumy, poprzedzona uroczystym nabożeństwem odprawionem przez metropolitę Antoniusza w otoczeniu członków Dumy, biskupów Eulogiusza i Mitrofanowa. O godzinie 1-ej m. 45 przystąpiono do wyboru prezesa Dumy. Chomjakow otrzymał 317 galek białych, 9 czarnych, został więc wybrany na prezesa.

— Z powodu porozumienia się prawicy z październikowcami nastąpił wybór Chomjakowa na prezesa Dumy.

— Cały akt otwarcia trzeciej Dumy w pałacu Taurydzkim, robił wrażenie wielkiej manifestacji lojalności.

— Na uroczystości otwarcia Dumy nie było ani jednego posła polskiego z Królestwa, zaś z posłów wileńskich nie wszyscy przybyli.

— W Petersburgu policja okazuje się niezmiernie czynną. Na otwarcie Dumy uzbrojono ją w nową broń i gumowe maczugi, według wzorów amerykańskich. W bliźkości pałacu Taurydzkiego utworzono gęste rogatki policyjne, które nie dopuszczają nikogo bez legitymacji. Dostęp do gmachu Dumy nader utrudniony. Nie przepuszczają nawet tramwajów.

— Wobec wzrastającej liczby szkół prywatnych, oraz Macierzy Szkolnej, jak również szkół, zakładanych przez gminy, do Okręgu naukowego napływają raporty o potrzebie większego, wzmocnionego nadzoru nad szkołami, domagając się powiększenia liczby inspektorów szkolnych, których liczba obecnie wynosi w Królestwie Polskiem 70, z pensją 135,000 rubli, utrzymanie zaś dyrekcji szkół ludowych kosztuje rocznie 73,000 rubli.

— General-gubernator warszawski, Skalon, jak donosi „Towarzystwo“, uznał projekt wprowadzenia miejscowego samorządu miejskiego i ziemskiego w Królestwie Polskiem i przedstawienie tegoż do ministeryum spraw wewnętrznych nie wcześniej, jak przed upływem roku, to jest w roku 1908-ym.

— Przyczyną poważnych zatargów pomiędzy robotnikami, a zarządem domów zarobkowych jest to, iż zarząd zawiadomił szewców i krawców, iż w przeciągu trzech miesięcy nie będzie miał dla nich roboty. Robotnicy utrzymują, iż domy zarobkowe przyjęły obstalunki od zarządu wojskowego na lat pięć, więc udawadniają faktami, iż roboty nie zabrakłoby, gdyby zarząd nie wydawał jej na prowincję, z krzywdą tutejszych robotników.

— Z powodów natury czysto ekonomicznej, szczególnie nieporozumień przeciw szewcom i krawcom, którym chodzi o usunięcie t. zw. „chalupnictwa“, w tych dniach rzucano w Warszawie cztery bomby. Przy ulicy Dzikiej przed magazynem Karsztadta, przy ulicy Przebieg, przed mieszkaniem handlarza butów Saulima Fronta. W godzinę po wybuchu bomby przy ulicy Przebieg, nowy huk usłyszano na placu Krasińskich. Do sklepu z ubraniami Frankenberga przy placu Krasińskich weszło dwóch młodych ludzi i zapytawszy o właściciela sklepu, położyli na

stole mały pakiecik. Prerażony Frankenberg zauważywszy złowrogi syk, wydobywający się z tajemniczego przedmiotu, wyrzucił go przez okno na skwer. Tam nastąpił głośny wybuch. Czwarła bomba przeznaczona była dla krawca, Bera Cheinera, przy ulicy Śto-Jerskiej.

— Powstaje nowy związek — Towarzystwo wzajemnej pomocy pracowników rolnych, który obejmie powiaty: Warszawski, Błoński, Mińsko-Mazowiecki i Radzyński.

-- Dochód czysty Banku Państwa za rok 1906-ty wyniósł 20,788,000 rubli.

— Wśród wyższego towarzystwa petersburskiego utworzyło się „Kółko równouprawnienia narodowości“, jak donosi „Głos Moskwy.“ Kółko jest wzorowane na działalności „Ligi praw człowieka“ we Francji, i liczy wśród swych członków kilku działaczy społecznych i Rady Państwa. Należy też do niego I. Milutin.

— „Towarzystwo“ donosi, iż wobec przepełnienia więzień, postanowiono wybudować cały szereg nowych, w tej liczbie cztery w Królestwie Polskiem.

— Nieznany autor odpowiedział na bullę papieżką „Ascende Dominici“, książką pod tytułem „Program modernistów.“ Papież książkę tę ekskomunikował.

— W Poznańskim nieprzerwane pasmo zbrodni i męczeństwa dzieci, stwierdza nowym faktem „Gaz. Ostrowska.“ Jedenastoletni synek gospodarza Kempieńskiego z Jankowa Przygodzkiego, otrzymał od nauczyciela kilka tak silnych uderzeń trzcina po głowie, że powróciwszy do domu, rozchorował się na tak ostre zapalenie mózgu i zalanie mózgu krwią, iż zakończył życie. Nauczyciel ów, jak zeznają dzieci, często je bije po głowie. Po zarządzeniu obdukcji zmarłego dziecka, nauczyciela zawieszono w urzędzie.

— Francja zajmuje się sprawą wyswietlenia szpiegostwa. Obwiniony kadet Ullmo, przyznał się, że sprzedawał w Brukselli przedstawicielowi obcego mocarstwa — Niemcom, skradzione przez siebie dokumenty za sumę 950,000 franków.

— Cesarz Wilhelm wśród serdecznego przyjęcia w Londynie, zaprosił króla Edwarda do odwzajemnienia się wizytą, która prawdopodobnie nastąpi w Berlinie.

— Celem protestu przeciw wykroczeniom drużyn bulgarskich w Macedonii, odbył się w Atenach wielki miting. Ludność grecka zachowywała dotąd stanowisko zupełnie pokojowe, powolna wezwaniu mocarstw. Gdyby jednak wykroczenia przeciw Grekom miały trwać dalej, ludność chwyci się samoobrony. Przedstawicielom mocarstw zagranicznych wręczyła deputacja rezolucję zgromadzenia.

— W Wenecji zmarł ks. *Arnulf bawarski*, powracający po kilkumiesięcznym pobycie w Azji środkowej. Był on najmłodszym synem księcia regenta Luitpolda, ożeniony z księżniczką Teresą von Lichtenstein, miał z nią jedynego syna, ks. Henryka.

### Treść numeru:

Ludzkość... przez Jadwigę z Z. Staokową. — Bez celu, powieść, przez Maryana Gawalewicz (ciąg dalszy). — Pamięci Bronisławy Jastrzębowski (wiersz), przez Bożymira. — Nasz ideał kobiecej w najnowszej literaturze, przez J. Okszę (ciąg dalszy). — Aleksander Świętochowski, przez Z. S. — Z nad świeżej mogiły: Bronisława Jastrzębowski (z portcetem), przez J. Ter. — Kwiaty i chwasty, przez Teodora Jeske-Choińskiego. — Kilka słów w kwestyi, która rozstrzygnąć się nie da, przez M. Cz. — Podwójna moralność, szkic powieściowy, przez Saryusza (Zofię Cieszkowską) (ciąg dalszy). — Bez szczęścia (wiersz), przez Zofię Fertner-Korczyńską. — Ze sztuk plastycznych, przez Z. Sk-Stank. — Sztuka i literatura zagraniczna, przez m. J. — Ze Stowaryszenia umysłowo pracujących Polek, przez z. b. — Z polskiego Sowarzystzenia Równouprawnienie, przez N. J. — Ze stowaryszenia kobiet pracujących w handlu, w przemyśle i biurowości, przez N. J. — Działalność kobieca w instytucjach gminy ewangelicko-augsburskiej w Warszawie. — Chwila bieżąca. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 4-ty noweli p. t. „Zona pożyczona“, w przekładzie Z. G.

Dodatek: Opis ubiorów i robót z rycinami.

— Do niniejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dla prenumeratorów na prowincyi Cennik Juliana Müllera.